

PANIOM NISKO SIĘ KŁANIAMY!

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXXI ● NR 10 ● 6 III 1988 R.

CENA 25 zł



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

NIE TYLKO Z OKAZJI 8 MARCA!

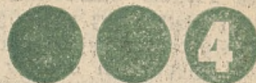
INDEKS-35923

PL ISSN-0017-1263



Wprosiłam się
do rodziny
Bałtuciów.
Pani Anna
jest nauczycielką
przedszkola.
Pan Aleksander
uczy w liceum
ogólnokształcącym.
Mają
czwórkę dzieci.
Jak im się żyje?

Fot. M. Szehech



ŻEBY ZNOWU MÓWIONO O NAS Z SZACUNKIEM

BARIERY I PERSPEKTYWY

MARIAN WALCZAK

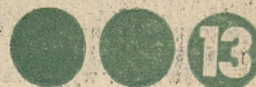
Po dwudziestu latach pracy pedagogicznej coraz częściej zastanawiam się nad swoją rolą, miejscem i możliwościami pracy dydaktyczno-wychowawczej. I to wcale nie dlatego, że swoją pracę traktuję instrumentalnie. Zastanawiam się jednak, czy po przejściu wszystkich szczebli wtajemniczenia szkolnego nie powinienem spróbować innego zawodu lub zajęcia. Podobnie myśleli wielu nauczycieli. Powie ktoś: odchodzą z zawodu ci, którzy odwrotnie. Najczęściej odchodzą ludzie niespokojni, twórcy, poszukujący, posiadający wykrystalizowane osobowości.

Przyczyny słabości polskiej szkoły upatruję w szeroko pojmowanej polityce kadrowej w szkolnictwie i placówkach wychowawczych oraz w wyjątkowo biurokratycznym traktowaniu tak czulej materii jak wychowanie i nauczanie. Szkolnictwo — w odróżnieniu od gospodarki — jest w permanentnej reformie, a drożności i spójności systemu ciągle nie widać. Reformuje się struktury szkolne i nadzór pedagogiczny w tempie nie pozwalającym na zakończenie choćby jednego cyklu zamkniętego kształcenia. Kosmetyce tylko poddaje się treści nauczania oraz przygotowanie kadr i ustanowienie podstaw egzystencjalnych i moralnych kadr nauczycielskich.

W społeczeństwie trwa bezpośrednia i pośrednia krytyka nauczycieli. Sądzę, że jest ona w dużej części uzasadniona. Nie jest już jednak winą samych tylko nauczycieli, że są jacy są. Przez wiele lat w

nauczycielu widziano przede wszystkim działacza społecznego, swoistego aktywistę politycznego w środowisku, a na końcu dopiero pedagoga i wychowawcę. Jednocześnie zła sytuacja materialna spowodowała negatywną selekcję kadr do tego zawodu. Tak zresztą jest nadal. Niesie ona pogłębiającą się feminizację zawodu, odpływ zdolniejszych osób do innych profesji, korepetycje i nadgodziny nie pozwalające przeciętnemu nauczycielowi na dobre wykonywanie pracy. Stąd także coraz częstsza demoralizacja wśród młodszej generacji nauczycieli.

Negatywna selekcja kadr zaczyna się już w momencie naboru do szkół wy-



POSIEDZENIE PREZYDIUM

W poniedziałek 29 lutego br. zebrało się Prezydium Zarządu Głównego ZNP. Najważniejszym punktem obrad były problemy związane z „aktualną sytuacją materialną pracowników oświaty i wychowania w świetle zmian w polityce dochodowo-cenowej państwa”. Prezes — Kazimierz Piłat zapoznał zebranych z wynikami rozmów, jakie prowadziło kierownictwo Związku w ostatnich dniach między innymi z wicepremierami — Józefem Koziółem i Zbigniewem Szajłą, kierownictwem OPZZ oraz ministrami — finansów oraz pracy, płac i spraw socjalnych. Natomiast dyrektor generalny ministerstwa edukacji narodowej — Henryk Kurowski zapoznał członków Prezydium z globalnymi kwotami przeznaczonymi na pełną waloryzację plac nauczycielskich i innych pracowników oświaty, z dniem 1 września 1988 roku. Powołano sześciuosobową komisję rządowo-związkową, która już w bieżącym tygodniu podejmie prace i przygotuje projekt. Uchwały Rady Ministrów w sprawie wynagradzania nauczycieli.

Przewiduje się, iż uchwała ta zostanie podjęta na przełomie marzec—kwiecień 1988 r.

Równolegle trwają prace nad podwyżką plac pracowników oświaty nie będących nauczycielami.

W NASTĘPNYM NUMERZE OBSZERNE SPRAWOZDANIE.

KRONIKA

(od poniedziałku do niedzieli)

● SPOTKANIE Z SENIORAMI

W dniach 22—24 lutego przebywał w Warszawie aktyw sekcji emerytów i rencistów z woj. białsko-podlaskiego, elbląskiego i olsztyńskiego. Złożyli oni wizytę również w siedzibie ZG ZNP, podczas której spotkał się z nimi wiceprezes Michał Langowski.

W spotkaniu tym uczestniczyli także członkowie Prezydium Krajowego Zarządu Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP.

● WSPÓLNE PROBLEMY

23 lutego prezes ZG ZNP — Kazimierz Piłat spotkał się z prof. Henrykiem Bednarskim, ministrem edukacji narodowej. Przedmiotem spotkania były m. in. problemy socjalno-bytowe pracowników oświaty i wychowania.

● Z OBRAD SEKCJI BIBLIOTEKARSKIEJ

Pod przewodnictwem dra Jana Ziemińskiego odbyło się 23 lutego posiedzenie Krajowego Zarządu Sekcji Bibliotek. Omawiano aktualne problemy pracy bibliotek szkolnych i pedagogicznych. Temat ten będzie przedmiotem spotkania Zarządu Sekcji z przedstawicielami Ministerstwa Edukacji Narodowej. Dodajmy, że warunki pracy tych placówek od dawna oczekują na radykalną poprawę.

● PRZED SEZONEM

W siedzibie ZG ZNP (23 lutego) odbyła się konferencja dyrektorów i głównych księgowych domów wypoczynkowych oraz sanatoriów ZNP. Na porządku dziennym znalazły się sprawy dotyczące przygotowania placówek do sezonu letniego.

Nie będzie to rok łatwy zarówno dla organizatorów wypoczynku, jak i dla kieszonki wczasowiczów. Takie stwierdzenia przewijały się w czasie dyskusji.

● POSIEDZENIE KOMITETU EKSPERTÓW

Przez dwa dni (24—25 lutego) w Rogalinie obradował Komitet Ekspertów d/s Edukacji Narodowej. Tym razem dyskusja poświęcona była problematyce doboru treści kształcenia i kanonom wykształcenia ogólnego.

W pracach uczestniczył również członek kierownictwa ZG ZNP — dr Jan Zaciura.

● O DZIECKU SPECJALNEJ TROSKI

26 lutego na posiedzeniu Zarządu Krajowej Sekcji Szkolnictwa Specjalnego omawiane były dwa tematy: stan szkolnictwa specjalnego zawodowego, przygotowanie ogólnopolskich obchodów 100 rocznicy urodzin prof. Marii Grzegorzewskiej. Posiedzeniu przewodniczył Tadeusz Szymczak.

● W TROSCIE O NOWY ROK SZKOLNY

27 lutego wiceprezes Rady Ministrów Józef Koziół przyjął kierownictwo Zarządu Głównego ZNP z Prezesem Kazimierzem Piłatem. W spotkaniu uczestniczyli również minister edukacji narodowej, Henryk Bednarski i minister pracy i polityki socjalnej, Ireneusz Sekuła.

Rozmawiano na temat aktualnych warunków życia, pracy i plac pracowników oświaty i wychowania.

Związek Nauczycielstwa Polskiego w swojej działalności na rzecz rozwoju oświaty w Polsce nieodmiennie preferował w wychowaniu dzieci i młodzieży kształtowanie właściwego, pozytywnego stosunku do pracy fizycznej i do ludzi pracy. Uważamy, że wychowanie przez pracę i do pracy jest powinnością ustrojową oraz nauczycielską wynikającą z troski o harmonijny rozwój osobowości dzieci i młodzieży. Te dwa źródła powinności powinny zdecydować jednoznacznie o potrzebie realizacji długofalowego, niezależnego od innych okoliczności, programu wychowania przez pracę.

Fakt eksponowania wychowawczych wartości pracy ludzkiej nie oznacza jednak utożsamiania się Związku i akceptowania przezeń stosowanych w przeszłości, ale również i dziś, rozwiązań oraz metod realizacyjnych wychowania przez pracę.

Wszelkie wychowanie, a więc i wychowanie przez pracę, nie znosi fasadowości, akcyjności i hasłowości. Często w przeszłości, a także obecnie fasadowość, akcyjność i skłonność do różnego rodzaju hasel determinowały o powodzeniu lub niepowodzeniu tej ważnej dziedziny wychowania.

Obecna przebudowa naszej gospodarki wymaga ludzi światłych i ideowych. Kształcąc ich musimy opierać wychowanie na autentycznym angażowaniu dzieci i młodzieży do podejmowania prac na rzecz najbliższego środowiska, a więc własnej klasy, szkoły i jej otoczenia. Rzecz jednak w tym aby nieprzemysłanym nakazem, złą organizacją pracy, nieefektywnością podejmowanych prac nie niszczyć wrodzonej aktywności dzieci. Dlatego też Związek Nauczycielstwa Polskiego prezentuje pogląd, że program wychowania przez pracę musi być na tyle ogólny i elastyczny, aby każda szkolna społeczność mogła go stosownie do czasu i potrzeb wypełniać ciągle żywymi i zmieniającymi się treściami.

Instrumentalnym nośnikiem idei wychowania przez pracę stać się miały praktyki uczniowskie w szkołach podstawowych i liceach ogólnokształcących. Związek Nauczycielstwa Polskiego od początku z zainteresowaniem przyjął samą ideę tych praktyk, ale również od początku domagał się organizacyjnego i prawnego ich przygotowania. Kilka lat wdrażania praktyk do szkół podstawowych wykazało, że i najsluszniejsza idea może nie być realizowana. Brak spójności między działaniami resortu oświaty a wciąż doskonałymi metodami zarządzania gospodarką, wykluczył możliwość wprowadzenia praktyk uczniowskich do zakładów pracy. Nieliczne w tej mierze pozytywne przykłady nie stanowią o powodzeniu całego zamierzenia.

Z konieczności cały ciężar wdrażania praktyk uczniowskich spoczął na barkach słabej technicznie i surowcowo szkoły. Obligatoryjność praktyk w zderzeniu z brakami właściwej bazy technicznej szkół oraz brakiem kadry doprowadziło do wypaczeń i stało się fikcją. Związek opowiada się za tym, aby odstąpić od obligatoryjności praktyk uczniowskich, pozostawiając je wszędzie tam, gdzie osiągane są wysokie efek-

gnizowania posiedzenia Konwentu Seniorów.

● W PAN

25 lutego odbyło się posiedzenie plenarne Sekcji Pracowników Instytutów Resortowych KRN ZNP. Na posiedzeniu omówiono sytuację placową istniejącą w instytutach resortowych oraz możliwości wprowadzenia zakładowych systemów wynagradzania w placówkach badawczo-rozwojowych. Dyskutanci podkreślali szczególną potrzebę ustalenia nowych taryfikatorów placowych dla instytutów budżetowych. Dalsza dyskusja dotyczyła organizacji wypoczynku i rekreacji w instytutach. Podkreślano potrzebę bardziej aktywnego działania w tym zakresie i to zarówno przez KRN ZNP, jak też w swoich macierzystych jednostkach. Powołano podkomisję d/s socjalnych, która ma wziąć udział w pracach Zespołu Wczasowo-Socjalnego KRN ZNP. Postulowano również aby wypoczynek dzieci i młodzieży został dofinansowany przez zakłady pracy w większym zakresie niż to jest przyjęte dotychczas. Osobnym problemem, któremu poświęcono dużą część dyskusji, były sprawy współpracy organizacji związkowych z radami załogi. Podkreślono powolną normalizację w tym zakresie, choć nie tajono zastrzeżeń, związanych z ząbaniem się kompetencji obu przedstawicielstw.

● POSIEDZENIE PREZYDIUM

25 lutego w nowej siedzibie — w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie odbyło się kolejne posiedzenie Prezydium Ogólnopolskiego Oddziału KRN ZNP w PAN. Tematem spotkania były sprawy placowa, socjalno-bytowe oraz problemy związane z mową o Polskiej Akademii Nauk. Prezydium jest zaniepokojone niskimi placami utrzymującymi się w starszej mowie i oświacie.

STANOWISKO

ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO W SPRAWIE WYCHOWANIA PRZESZŁOŚCI

ty w tym zakresie i traktując je w dalszym ciągu eksperymentalnie. Decyzję w tej sprawie powinna podejmować rada pedagogiczna w porozumieniu z komitetem rodzicielskim i właściwym zakładem pracy. Chodzi również o to, aby przedstawić w sposób jasny cele praktyk uczniowskich i stosownie do celów formy oraz metody ich realizacji. Obecnie sformułowane cele są fasadowe, bardziej przypominają hasła, aniżeli kierunek działania.

Wychowanie przez pracę i dla pracy znalazło swój wyraz w ustawie z 1961 r. o systemie oświaty, która zakłada politechniczny charakter polskiej szkoły. Tak sformułowana ustawa w pełni odzwierciedlała marksistowską koncepcję kształcenia i wychowania politechnicznego. Rzecz jednak w tym, że przez wszystkie następne lata niewiele zrobiono aby idee w pełni urzeczywistnić. Przeładowane treściami encyklopedycznymi programy nauczania nie pozwalały na politechniczne nauczanie fizyki, chemii, biologii, geografii czy matematyki. Encyklopedyczne w swym charakterze programy nauczania prowadzą do encyklopedycznej wiedzy, odartej z praktycznych zastosowań.

Jedynym przedmiotem mogącym spełniać zasady kształcenia i wychowania politechnicznego jest praca-technika. Przedmiot ten mógłby do pewnego czasu wypełniać lukę powodowaną encyklopedyzmem innych przedmiotów i źle organizowanych praktyk uczniowskich. Twierdzimy, że mógłby, gdyż faktycznie nie może. W polowie szkół brak jest pracowników technicznych. Większość istniejących szkolnych pracowników technicznych znajduje się w najgorszych warunkach, w pomieszczeniach ciemnych, często zawilgoconych, bez odpowiedniego uzbrojenia w bieżącą wodę i właściwą instalację elektryczną. Warunki te nie mogą budzić pozytywnej motywacji do podejmowania zawodów robotniczych.

Wieloletnie wysiłki nauczycieli, aby zrealizować ambitny program pracy-techniki, nie przyniosły spodziewanych efektów. Brak nauczycieli, szczególnie kwalifikowanej kadry do nauczania tego przedmiotu, nagminnie występujące przepełnienie w klasach, brak funduszy na zakup zużywających się narzędzi, materiałów i urządzeń, dekapitalizacja stanu technicznego pracowni, brak podręczników i zeszytów ćwiczeń dla uczniów oto zasadnicze przyczyny rozczarowań pedagogicznych i narastającej fali krytycznych uwag o zbyt wygórowanych i trudnych treściach programowych oraz braku możliwości zrealizowania wszystkich celów kształcenia i wychowania.

Wychowanie dla pracy to nie tylko pozytywny stosunek do samego procesu pracy, ale również właściwy stosunek do na-

zędzi pracy. Nowoczesnym, coraz częściej przenikającym nasze życie narzędziem staje się komputer. Praktyka wysoko uprzedmiotowionych państw wskazuje, że jest to proces nieodwracalny.

Nasze stanowisko nie odnosi się zatem do pytania, czy należy komputeryzować szkołę, lecz do pytania, jak ten proces powinien przebiegać. Uwzględniając rozróżnienie twórczych w zbiorowości opowiadamy się za dwoma nurtami edukacji komputerowej młodzieży. Pierwszy i podstawowy nurt — to wychowanie świadomego konsumenta techniki komputerowej, umiającego swobodnie korzystać z tych urządzeń, nie poddającego się swojej alienacji technicznej. Nurt drugi dotyczy wyłaniania i rozwijania osobowości twórczych w sensie informatycznym lub elektronicznym, a więc kształcenie od możliwości niskiego progu wiekowego zdolnych programatorów i konstruktorów.

Szkola działa w określonej sytuacji gospodarczej państwa. Stąd wysuwamy postulat tworzenia międzyszkolnych silnych pracowni komputerowych. Rozproszenie środków na pseudokomputeryzację wszystkich szkół nie może przynieść oczekiwanych rezultatów.

Wszystkie te kierunki działań szkoły na rzecz wychowania przez pracę i dla pracy wymagają wysoko kwalifikowanej kadry pedagogicznej z przygotowaniem technicznym. Warunki pracy, jakie tej kadry oferuje dzisiejsza szkoła nie zachęcają do podejmowania pracy w szkolnictwie. Tylko wyraźny postęp w dziedzinie plac, warunków lokalowych szkół, ich technicznego wyposażenia, a wreszcie nowego spojrzenia na zakazy bhp mogą tę kadre zachęcić do pracy w szkole.

Nie sposób również nie odnieść się do samego procesu kształcenia kadr pedagogiczno-technicznych. Kierunek wychowania techniczne kończy się pełnym wykształceniem magisterskim, prowadzony przez uniwersytety i wyższe szkoły pedagogiczne jest ograniczony. Niedroższe dwuletnie studia nauczycielskie nie mogą rekompensować niedoboru miejsc w uczelniach wyższych, ponieważ jest to wykształcenie wysoce niewystarczające. Nabór na tak specjalistyczne studia wymaga badania określonych predyspozycji intelektualnych i manualnych. Tych ostatnich nikt nie bada.

Przedkładając powyższe stanowisko, Związek Nauczycielstwa Polskiego uważa, że warunkiem urzeczywistnienia koncepcji wychowania przez pracę jest uspołecznienie szkół, wyzwalanie wśród nauczycieli twórczego stosunku do programów nauczania, a także odpowiedzialności za efekty pracy szkoły. Tylko szkoła uspołeczniiona złożona z kilku zjednoczonych samorządności: nauczycielskiej, uczniowskiej, dyrektorskiej, rodzicielskiej i środowiskowej może w sposób prawidłowy realizować wychowanie przez pracę. Proponuje się również rozważyć opracowanie nowej ustawy oświatowej stwarzającej możliwość uspołecznienia edukacji narodowej przez kształtowanie oczekiwanego przez społeczeństwo stosunku do pracy i ludzi pracy.

NIEPOKOJE ZWIĄZKOWA DIAGNOZA

Aktyw związkowy warszawskiej dzielnicy Ochota dyskutował o aktualnych problemach oświaty i wychowania. W czasie dwugodzinnej wymiany poglądów związkowcy doszli do następujących wniosków:

— Zwiększa się liczba nauczycieli odchodzących do zawodów lepiej płatnych.

— Powiększa się z roku na rok liczba nauczycieli bez kwalifikacji.

Jest to spowodowane — mówili członkowie ZNP — pogarszającymi się warunkami pracy i życia nauczycieli. Ażeby wyjść z tego kadrowego kryzysu należy:

— powiększyć do 7 proc. udział oświaty w budżecie państwa,

— podjąć decyzję w sprawie pełnej, sprawiedliwej realizacji art. 31 Karty Nauczyciela,

Równocześnie podkreślano, iż:

— zarobki pracowników oświaty od lat kształtują się poniżej średniej krajowej. Realna płaca nauczycieli na koniec 1987 roku wynosiła 80,9 proc. płacy nauczycielskiej z 1984 r.

W związku z powyższym stwierdzano:

— należy bezzwłocznie włączyć do uposażeń zasadniczych nauczycieli kwotę 6-tysięcznej rekompensaty,

— trzeba dokonać pełnej waloryzacji płacy nauczycielskiej zgodnie z ustawą Karta Nauczyciela.

Prawie każdy dyskutujący podkreślał, iż w tej chwili nastroje w środowisku nauczycielskim są złe, nie sprzyjają twórczej, zaangażowanej pracy. A tylko taka własnie twórcza praca pedagogów przyniesie może lepsze efekty dydaktyczne i wychowawcze.

Spotkanie otworzył i podsumował prezes Zarządu Oddziału Warszawa-Ochota — kol. Otton Jakubczyk. Zapoznał on też zebranych z listem przedstawicieli Oddziału ZNP w sprawie warunków pracy i życia nauczycieli, który został skierowany do Marszałka Sejmu PRL.

TYDZIEŃ

(w Krajowej Radzie

Nauki ZNP)

● KONTAKTY Z ZAGRANICĄ

22 lutego podczas posiedzenia Zespołu Współpracy z Zagranicą KRN ZNP omówiono program współpracy zagranicznej w roku 1988, ze szczególnym uwzględnieniem zadań KRN ZNP w pracach Światowej Federacji Pracowników Nauki. Przedyskutowany i przyjęty został projekt programu symposiumu Komitetu Młodych Pracowników Nauki SFPN, które odbędzie się w październiku br. w Warszawie. Tematem symposiumu będzie „10 lat deklaracji ONZ o wychowaniu społeczeństw w duchu pokoju”.

● SEKRETARIAT KRN ZNP

23 lutego 1988 r. obradował Sekretariat KRN ZNP. Omówiono problemy związane ze zbliżającym się posiedzeniem Prezydium KRN ZNP (1 03 1988 r.). Zgodnie z ustaloną tematyką głównym problemem obrad Prezydium będzie kształcenie i doskonalenie nauczycieli. Przyjęto, że Prezydium KRN ZNP zapoznane zostanie z wynikami prac Sekcji Szkolnictwa Wyższego oraz projektem budżetu KRN ZNP na rok 1988. Postanowiono również przedstawić Prezydium wniosek Komitetu Młodych Pracowników Nauki SFPN o zorganizowanie w Warszawie w październiku 1988 r. posiedzenia tego Komitetu połączonego z seminarium. Przyjęto również, że podjęte zostaną kroki dla na-

JAKI PAN, TAKI KRAM

O pozycji szkoły w środowisku, o tym jaką opinią cieszy się wśród rodziców i uczniów — decyduje zawsze ten pierwszy, czyli dyrektor. Wszystko, a już na pewno bardzo wiele, zależy od jego umiejętności kierowania placówką i zespołem, od stylu i metod pracy. Od sprawnego kierownictwa zależy w dużej mierze nie tylko ranga szkoły, ale też powodzenie całego grona i pojedynczych osób.

Dyrektorów w oświacie mamy różnych — sprawnych organizacyjnie i rozkojarzonych, kochanych przez młodzież i podwładnych, ale też zniechęconych. A życie dyrektorów nie rozpieszczę. Działają — jak to „pięknie”

określa zarządzenie — „na zasadzie” jednoosobowego kierownictwa i jednoosobowej odpowiedzialności. Przedtem jednak musi ułożyć się z radą pedagogiczną, organizacjami społeczno-politycznymi i ZNP. Co łatwie nie jest. Zadań wciąż przybywa, zaś zakres uprawnień ciągle prawie ten sam. Już z tych choćby powodów niełatwo być dyrektorem, a jeszcze trudniej wytrzymać na tym stanowisku przez całe lata.

Dla tych właśnie — bardziej lub mniej wytrwałych — ogłaszamy konkurs. Hasło: jaki pan — taki kram, określa jego cel. Chcemy pokazać, w jakim stopniu dyrektor ma wpływ na bieg szkolnego życia — w czym się jego

organizacyjny talent wyraża i co z tego wynika.

Zachęcamy więc dyrektorów obojga płci do uczestnictwa w naszym konkursie. Napiszcie, jak Wam się udaje dzierżyć ten ster w szkołach lub innych placówkach? Jaką reprezentujecie koncepcję sterowania placówką i zespołem, co w mechanizmie kierowania uważacie za ważne, co za drugoplanowe? Czy i w jakim zakresie stać Was na odwagę i samodzielność w decyzjach. Co zależy od Was samych, a co przekracza Wasze możliwości i dłażczego? Czy możecie określić najbardziej pożądany przez Was model dyrektora? Jak gospodarujecie swoim czasem — ile starcza

go na to, co najważniejsze — kształcenie i wychowywanie młodzieży?

I wreszcie — co zmieniło się w Waszej pracy w ostatnich latach? Jakie są Wasze największe sukcesy i porażki?

Na prośbę Czytelników przedłużamy termin nadsyłania prac do 31 maja 1988 r. Do pracy opatrzonej godłem, należy dołączyć kopertę z nazwiskiem i adresem.

Autorów najwyżej ocenionych prac czekają następujące nagrody:

- I — 15 tys. zł,
- II — 10 tys. zł,
- Dwie trzecie po 5 tys. zł.

oraz wyróżnienia książkowe. Najciekawsze prace (lub fragmenty), będą publikowane na łamach „Głosu”.

Konkurs zamierzamy podsumować dyskusją w redakcji z udziałem laureatów konkursu.



Fot. M. Suchecki

GŁOS MA INSPEKTOR

STRATY I ETATY

Kierownictwo byłego ministerstwa oświaty, wykorzystując przysłane z kuratoriów sprawozdania przeprowadziło analizę oraz dokonało oceny poniesionych strat w majątku oświatowym w 1986 roku, opracowało także wnioski zmierzające do zapobiegania niegospodarności i zabezpieczenia mienia. Materiał ten rozesłano do kuratoriów z zaleceniem przedyskutowania go na różnego rodzaju naradach szkoleniowych.

★

STRATY poniesione w 1986 r. w szkołach i jednostkach organizacyjnych resortu oświaty i wychowania oszacowano na 246 678 tysięcy złotych. W ochronie mienia i zapobieganiu niegospodarności nastąpiła poprawa w stosunku do 1985 r. Wyraża się ona w obniżonej ogólnej wielkości poniesionych strat o prawie 15 500 tys. zł. Kilkakrotnie wyższa jest kwota zrewindykowanych szkód i należności.

Zwiększyła się liczba spraw skierowanych do organów ścigania, sądów i komisji orzekających, a także większa jest liczba ukaranych pracowników.

Nie ominęły oświaty straty nadzwyczajne, a więc nieprzewidywane i często niezamierzone. Wichury i huragany powaliły niektóre budynki, pozrywały dachy. Powodzie zalały piwnice, kotłownie i inne pomieszczenia. Awarie urządzeń technicznych, takie jak: pęknięcie rur i kotłów, pucie się silników, pomp, powodowały zalewanie pomieszczeń szkolnych wodą. Oprócz wad fabrycznych były i takie przyczyny, które można było uniknąć. Awarie kotłów centralnego ogrzewania powodowane są często użytkowaniem niewłaściwego opału. W ostatnim okresie szkoły coraz mniej otrzymują koks, niektóre wcale a piece c.o. do stosowane są na koks z domieszką węgla. Do strat niezawinionych zaliczyć należy różnice inwentaryzacyjne, odsetki i kary za nieterminowe regulowanie należności, od-

szkodowania płacone za utratę zdrowia i mienia, itp.

Są jednak szkody, których można było uniknąć, gdyby zabezpieczono mienie społeczne, gdyby w oświacie pracowali tylko uczciwi pracownicy. Podstawową stratą są kradzieże i włamania. Glinie to, czego na rynku brakuje: sprzęt nagłaśniający, audiowizualny, muzyczny, części zamienne do samochodów w warsztatach szkolnych, do urządzeń radio-telewizyjnych, sprzęt sportowy i turystyczny. Nieuczciwe intendentki, kasjerki, księgowe szkół przywłaszczały sobie gotówkę, operowały fikcyjnymi gotówkami, dopuściły do defraudacji środków materialnych, artykułów żywnościowych, opałowych, środków czystości. Kradziono z placówek oświatowo-wychowawczych gotówkę Komitetów Rodzicielskich, zbierane składki na ubezpieczenia młodzieży, odpłatności rodziców za żywienie. Kontrole i rewizje finansowo-księgowe stwierdzały straty z tytułu wypłaconych odsetek za nieterminowe regulowanie należności, za spóźniony zwrot opakowań i odbiór przesyłek, nadpłaty za roboty remontowo-budowlane, nadpłaty czynszów, wynagrodzeń, nagród, należności za podróże służbowe, zbędne zapasy materiałowe i żywności. Inną grupą strat są pożary na skutek wad w instalacjach: elektrycznych, grzewczych, gazowych i przewodach kominowych. Ważną rolę do spełnienia mają tu przeglądy okresowe warunków pracy i nauki oraz przeglądy techniczne obiektów oświatowych.

★

WNIOSKI są słuszne. W celu dalszego minimalizowania strat celowym będzie: intensyfikowanie kontroli wewnętrznej, włączanie tej problematyki do zadań wizytacji i kontroli pracowników wykonujących nadzór oświatowy; upowszechnianie wśród pracowników oświaty wiedzy z zakresu obowiązujących przepisów związanych z ochroną mienia i zapobieganiem niegospodarności; wprowadzić problematykę ochrony mienia do programów szkolenia kadry kierowniczej, organizowanego w systemie Oddziałów Doskonalenia Nauczycieli i Instytutu Kształcenia Nauczycieli.

Wzmocnienia wymagają odpowiednie komórki organizacyjne wykonujące kontrolę zewnętrzną. Konieczne jest obsadzenie wakujących stanowisk i nadzoru nad przypisanymi im zadań związanych z ochroną mienia, winny funkcjonować. Zobowiązać także należy organy nadzorujące szkoły do bezkompromisowego nakładania sankcji służbowych i finansowych na osoby dopuszczające się do ewidentnych zaniedbań, łamania przepisów, a w przypadkach noszących znamiona przestępstw lub wykroczeń kierowania spraw do organów ścigania. Zobowiązano kuratoria oświaty i wychowania do dokonywania corocznie pogłębionych analiz przyczyn występujących strat w mieniu oświatowym. Departamenty ministerstwa miały podjąć działania na rzecz wypracowania systemu pozytywnych oddziaływań motywujących wysoką efektywność gospodarowania majątkiem szkolnym, np. poprzez ogłoszenie konkursu „Oświatowy Mistrz Gospodarności”.

★

POSTULATY inspektorów oświaty i wychowania, dyrektorów placówek oświatowo-wychowawczych kierowane do kuratoriów i resortu oświaty dotyczą m. in. przydziału dodatkowych etatów. W ostatnich latach w szkołach przybywa pracy. Szkoły zawodowe wypłacają uczniom wynagrodzenie za zajęcia warsztatowe. Powinno być tak samo. Co miesiąc należy obliczyć — ile dni był uczeń na zajęciach. Kto to ma robić? — pytają dyrektorzy. Szkoły zajmują się zbieraniem pieniędzy i wykupem biletów miesięcznych na PKP i PKS dla uczniów dojeżdżających. Wprowadzając bezpłatne podręczniki do szkół, zobowiązano je do prowadzenia dokładnej ewidencji, zbierania pieniędzy za książki za-

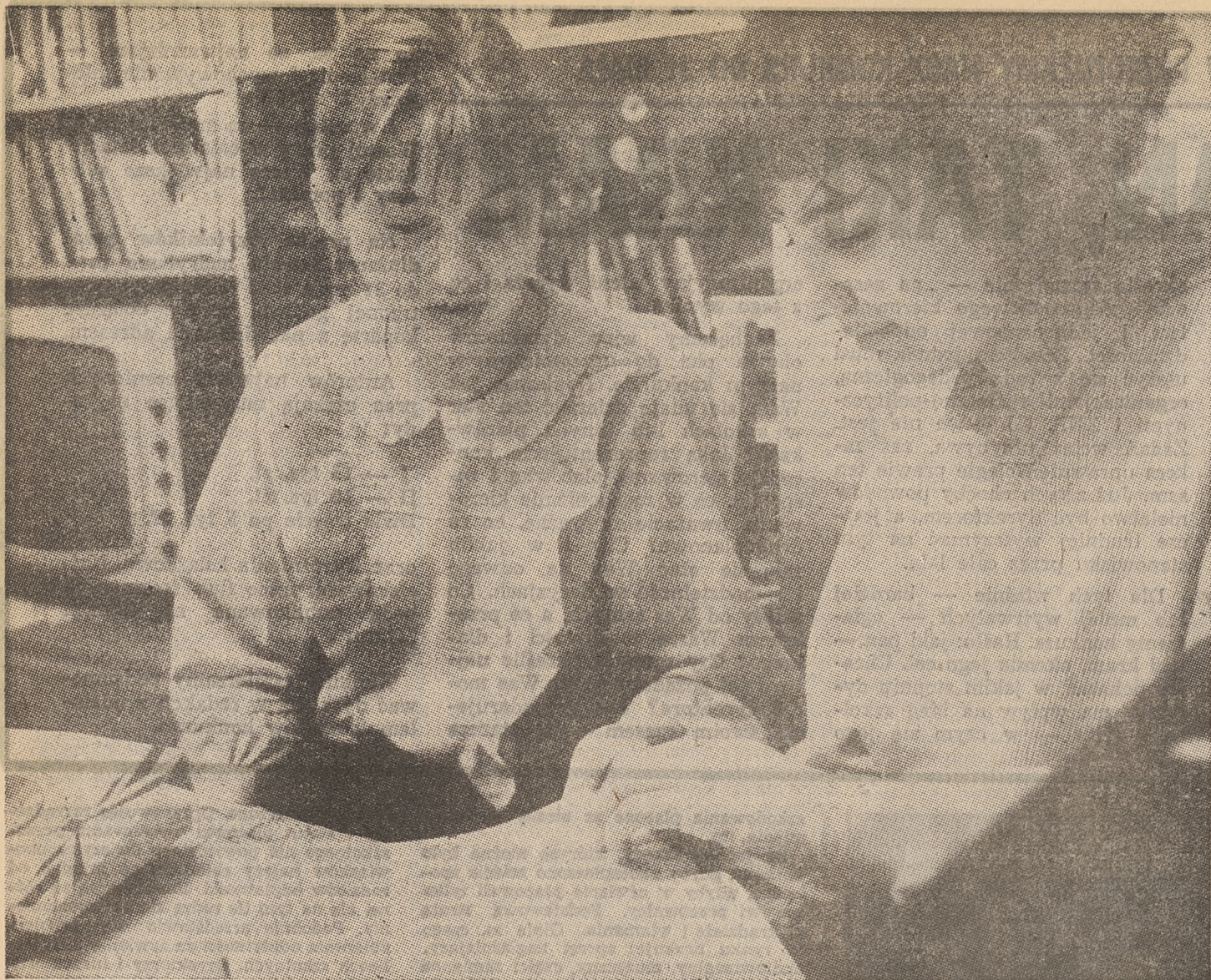
blone i zniszczone. Opracowując zarządzenie i statut placówki wychowania przedszkolnego nie powiedziano do czego obowiązki należy zbierać co miesiąc od rodziców odpłatności. Rozwiązania są różne, ale na tym tle rodzą się nieporozumienia. Podobnie przedstawia się problem zbierania odpłatności za żywienie w świetlicach szkolnych. Dyrektorzy i inspektorzy oczekują od dawna, by w tej sprawie zajął stanowisko resort. W dużych szkołach przydzielono po jednym etacie pracownika administracyjnego. To stanowczo za mało. Prowadzenie kancelarii, ewidencji obowiązków szkolnego, pieczęci, druków ściślego zarachowania, wydawanie legitymacji uczniowskich, odzieży ochronnej, środków czystości, herbaty dla nauczycieli, pisanie pism, planów, harmonogramów itp. itd. przekracza możliwości jednej osoby. A potrzeba — mówiąc o mieniu szkoły — prowadzić książki inwentaryzacyjne, oznakować sprzęt i pomoce naukowe, przeprowadzać okresowe inwentaryzacje. W szkołach żywi się młodzież nie tylko ze świetlic, także znacznie więcej uczniów i nauczycieli. Etaty pracowników w kuchni przyznawane są nie do ilości żywionych, a zapisanych do świetlic. Podobnie ma się sprawa z internatami. W nich żywi się młodzież mieszkająca na stacjach. Dyrektorzy postulują, by etaty przyznawać do liczby żywionych a nie przebywających w internatach czy świetlicach.

Postęp wkracza do oświaty. Coraz więcej mamy urzędów specjalistycznych (np. programowane zmywalnie naczyń w kuchniach), które ktoś musi konserwować, programować, naprawiać. Czynną to specjaliści, posiadający uprawnienia. Takich specjalistów nie przewidują w zatrudnieniu przepisy oświatowe. „Sanepidy” zalecają zatrudnianie dietetyczek w przedszkolach i świetlicach. I znów takich etatów nie przewidział resort. Wydajemy oświatowe pieniądze na malowanie szkół, naprawy elektryczne, wodno-kanalizacyjne. Taniej byłoby zatrudniać rzemieślników w zespołach ekonomicznych szkół: malarzy, murarzy, elektryków, hydraulików. Mieliby na terenie miasta czy gminy co robić w szkołach. Zaoszczędzilibyśmy znaczne pieniądze, których oświata odczuwa niedobory. Jeśli mamy wprowadzić oszczędność, gospodarność, to w tym zakresie są duże rezerwy.

Był w historii szkoły zwyczaj, że nauczycieli i dyrektorów szkół zatrudniało się od 15 sierpnia. Później odeszło się od tej tradycji. A szkoda. Zwłaszcza jeśli chodzi o dyrektorów. Przecież musi kiedyś odchodzący dyrektor przekazać nowemu majątek szkoły. Przeważnie dokonywana była wówczas inwentaryzacja. Sporządzano protokół zdawczo-odbiorczy. Przepisy w tym zakresie są nadal obowiązujące. Tylko w wielu przypadkach tego się nie robi. Nie ma kiedy. Odchodzący dyrektor od 1 września obejmuje nowe obowiązki i później nie ma czasu. Nowego jeszcze nie ma. Ciągłe zmiany na stanowiskach kierowniczych, brak stabilizacji w bibliotekach, powoduje rozluźnienie dyscypliny w zakresie gospodarowania majątkiem szkoły. Stąd prosta droga do niegospodarności i nadużyć oraz nieposzanowania mienia społecznego. Ten ogrom trudności sprawia, że nie zawsze jesteśmy „na dole” w stanie podjąć wszystkim obowiązkom. Prowadząc atestację stanowisk powinniśmy oświacie dodać etatów administracyjno-obslugowych, przynajmniej na takim poziomie, jak w innych działach gospodarki narodowej.

ADAM ŁAZAR

Autor pełnił wiele funkcji w oświacie. Aktualnie jest instruktorem oświaty i wychowania w Lubaszowie.



Małgorzata (blondynka) trzecioklasistka i Aldona z czwartej klasy uczą się w płońskim liceum — czyli u taty.

4738 zł (pozostałe 3266 zł), gaz z butli (średnio 3 butle miesięcznie po 700 zł jedna) czyli 2100 zł, tv, radio — 900 zł, telefon — średnio 500 zł. W sumie 8 695 zł za luty po starych cenach.

— Te koszty, jak u wszystkich, „zagrają” w budżetach za kilka miesięcy. Z tego co wiemy z prasy, należy się liczyć z podwojeniem sumy — snujemy niezbyt optymistyczne prognozy.

Może przy stałych opłatach doliczymy od razu spłacane pożyczki — 4000 i 4500 zł miesięcznie, razem 8 500 zł. Korzystamy z nieoprocentowanych pożyczek z kasy Związku (oboje jesteśmy członkami ZNP) od lat, z tych pożyczek robimy większe zakupy.

— Pozostało wam 54 tysiące złotych po odliczeniu opłat stałych i pożyczek — szybko wchodzi w rolę kasjera państwa Boltuciów. — Przejdźmy do żywienia. Korzystacie z obiadów w stołówce?

— Stołowaliśmy się w internacie mojej szkoły — odpowiada pan domu — ale po podwyżce zrezygnowaliśmy.

— Proszę policzyć: mają miałby płacić za ciabę 115 zł dziennie, córki po 127 zł, synowie najwięcej, bo z innej szkoły — 157 zł. Dziennie wypadłoby 633 zł, miesięcznie około 16 000 zł, a gdzie soboty, niedziele? Musielibyśmy także oddać kartki — dziewczęta po 8 dkg dziennie, chłopcy po 6.

— Wszystko to zdecydowało, że wycofaliśmy się ze stołowych obiadów, te pieniądze możemy przeznaczyć na znacznie lepsze, domowe. I jeszcze coś z obiadu zostanie na kolację. Zresztą taką decyzję podjęło kilkunastu nauczycieli w liceum.

— Nie rozumiem jednak, w jaki sposób wylizane są te żywieniowe stawki — to pan Aleksander. — Młodzież mieszkająca w szkolnym internacie za całodziennie wyżywienie płaci 108 zł, my tylko za obiady, kwoty, jakie pani podalem — trudno dostrzec tu jakiś logikę.

— Koszty codziennych zakupów — dalej molestuje rodzinę — czy może macie inny system?

— Nie może być inny — szybko odpowiada pan Aleksander, który od początku roku robi zakupy, ma więc najlepszą wyobraźnię o zmianach cen. — Codziennie kupuję 2 kg chleba i 2 rogalie czy bułeczki, kostkę masła, 25 dkg białego sera, 2 butelki mleka, butelkę śmietany, mniej więcej co drugi dzień ćwierć kg sera żółtego. Za to płacę 600 zł... Nie wierzy pani? Podliczmy razem — 2 chleby 110 zł, 2 rogalie — 60 zł, 2 butelki mleka tłustego 76 zł, masło 195 zł, ćwierć sera białego 64 zł, butelka śmietany 61 zł, to już 566 zł. A to dopiero pierwsze i drugie śniadanie dla dzieci. Miesięcznie wypada ponad 17 tys. zł.

— Miesięcznie gładym też 11 kg cukru, 5 kg maki. Jajka kupujemy na targu, wychodzi trochę taniej ale i tak licząc nawet po 26 zł, na 120 jajek miesięcznie wydajemy ponad trzy tysiące — przejmuję paleczkę pani Anna. — Miesio i wedliny kupujemy tylko na kartki, ale mamy 18 kg i to nam wystarczy. Na przykład w lutym miał od razu kupić 9,5 kg wedliny za 10 400 zł, planuje, że jeszcze na wedliny wydać ok. 2000. Resztę kartek przeznaczamy na mięso, licząc, że będzie nas kosztowało około 7 000 zł. W sumie, jak by nie liczyć na jedzenie przeznaczamy około czterdziestu tysięcy. A nie liczyliśmy drogiej przecież

— Nie zamierzamy się wycofać z nadliczbowek, zresztą wszystkie dochody liczą się rocznie, ale co do przyszłego roku trudno już dziś podjąć decyzję — odpowiada szczerze pan Aleksander. Nie wiadomo na co liczyć, jak planować, ta huśtawka, niepewność dominują nad wszystkimi decyzjami.

Liczymy stałe opłaty: za mieszkanie, centralne ogrzewanie i ciepłą wodę (raz w tygodniu) płacą 2 457 zł; za energię elektryczną pierwsza rata w lutym wynosi

Tę pracowicie pan Aleksander modernizuje sam.

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

C.D. ZE STR 1

— Wczorajem łatwiej panować nad ruchem, ale co się dzieje rano, kiedy pięcioro jednocześnie spieszy się na ósmą! — pani Anna uśmiecha się a ja już widzę ten ich poranny rozruch jak na przyspieszonym filmie.

Pani Anna, nauczycielka Przedszkola nr 1 w Płońsku, wychodzi do pracy na siódmą, czasami, by rozładować ten codzienny zator zabiera ze sobą Olgierda — ośmiolatkę, który potem idzie do szkoły sam. Pan Aleksander, nauczyciel wychowania technicznego w płońskim liceum, razem z Aldoną i Małgorzatą, licealistkami z czwartej i trzeciej klasy mają jedną drogę. Andrzej — ośmioklasista biegnie w swoją stronę. Spotykają się znowu po siedemnastej. Dziewczeta już zdążyły podgrzać przygotowany rankiem przez mamę obiad, niewiele czasu pozostaje zatem domownikom na naukę, książki.

Poludniowa wizyta w liceum zakończyła się zaproszeniem do domu i oto już jestem gościem państwa Boltuciów, sześcioposobnej rodziny nauczycielskiej: 54 m kw., trzy pokoje, kuchnia, łazienka — jedno z mieszkań w okazałym Domu Nauczyciela przy głównej ulicy miasta — w takich realiach toczy się ich życie. Mieszkają tu 16 lat.

Od słowa do słowa zliczamy miesięczne zarobki małżonków.

Pani Anna — dwadzieścia lat pracy, po SN — zarabia 15 100 zł plus 2869 zł wysługi za lata pracy. Do końca ubiegłego roku miała także 14 nadliczbowek tygodniowo ze stawką 164 zł za godzinę, czyli dodatkowy miesięczny grosz — 9 184 zł. Ostatni miesiąc spędziła jednak w domu ze złamaną nogą, ale od marca będzie miała dodatkowych zajęć mniej — tylko 9.

Pan Aleksander — 19 lat pracy, wykształcenie magisterskie, zarabia 19 500 zł plus wysługa 2700 zł, razem 22 200 zł. Dodajmy do tego 16 nadliczbowek tygodniowo po 250 zł — co miesięcznie wynosi około 12 000 zł.

Łącznie miesięczne zarobki małżonków — 61 353 zł plus lutowe — 12 tys. — rekompensaty. To już wszystko, dzieci nie otrzymują stypendiów (w ubiegłym roku szkolnym jedna z dziewczynek otrzymała 700 zł).

Powiedz tata, jak to jest z tymi nadliczbowkami — to pani Anna.

— W zeszłym roku szkolnym nie mieliśmy nadliczbowek, tylko gołą pensję! — opowiada mi pan Aleksander — ale żyliśmy pod kreską, zresztą nasza średnia od lat sytuowała się trochę powyżej progu ubóstwa.



Chłopcy rosną „jak na drożdżach”, najpilniejszą zakupną dla nich w każdym sezonie są buty.

Zdjęcia: M. Suchecki

owoców, warzyw, słodczy na kartki — uf, pani Anna dostaje rumieńców, — nie przypuszczalam, że to aż tyle kosztuje. Dodajmy owoce — pół kilo dziennie — 170 zł razy 30, to jest już 5000 zł, za ziemniaki, włoszczyznę, warzywa na surowki, prawie tyle samo wydajemy. Razem około pięćdziesięciu tysięcy.

— W tej chwili mamy jeszcze drobne zapasy, nie odczułimy więc w lutym dotkliwie podwyżek, staramy się oszczędnie gospodarować, ale na jedzeniu nie chcemy oszczędzać — kończą walek jedzenia obydwój.

— Trudno zapomnieć o środkach czystości, w dużej rodzinie dużo się pierze. Średnio zużywam 3—4 proszki, nie liczę ich w naszych wydatkach dzisiaj bo mam jeszcze zapasy — dodaje pani Anna.

— Stałą sumą w naszym budżecie były dotychczas książki i gazety. Miesięcznie średnio wydawałem 1500 zł na gazety i czasopisma, na książki około 10 tys. rocznie. Sądziłem, że po podwyżkach zrezygnujemy z niektórych tytułów, nie damy rady. Płacimy też 1500 zł rocznie na komitety rodzicielskie za chłopców, w szkole podstawowej 1000 zł, w szkole muzycznej symbolicznie — bo 500 zł. Za dziewczęta nie płacimy i to jest w zasadzie jedyna ulga, jaką mamy na dzieci. Innej ochrony rodziny wieloletniej nie odczułimy.

— Odrębny problem stanowią ubrania dla dzieci, szczególnie dziewcząt. To już są panny. Na przykład na studniówkę w tym roku poszły obie (młodsza gościnnie, jako przedstawicielka ZSMP). Naprawdę skromne spódnice i białe bluzki oraz buty kosztowały nas 29 tys. I jak się potem przekonał, było to mało — inni rodzice ponieśli znacznie wyższe koszty. Z niegodnych ubrań najdrożej kosztują nas buty — Andrzejowi noga rośnie chyba z dnia na dzień, Olgierdowi też. Co pół roku z mieniamy im obuwie.

— No, ale na takie wydatki przeznaczamy pieniądze zarobione ekstra, na przykład podczas wakacji. W zeszłym roku pracowaliśmy przy remoncie i modernizacji naszej szkoły — za dwa miesiące ciężkiej pracy zarobiliśmy trochę ponad 100 tys. zł. Co tu dużo mówić, nauczyciel, żeby się utrzymać, musi się inaczej rozmyślać dodatkowych zajęć. Był czas, pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy hodowaliśmy pod folią pomidory, kilkadziesiąt kilometrów za Płońskiem, na ziemi teściów — wspomina pan Aleksander. — Teraz już nie dalbym rady ale z tej pracy została nam pamięć — tu pan domu wskazuje na wysłużony już Rubin.

— Podsumujmy, nawet przy bardzo skromnym liczeniu wydatków podstawowych, okazuje się, że z tej relatywnie dużej sumy zarobków — czyli 73 tys. zł niewiele zostaje wam „na czysto” — około 4 tys. zł. Stałe opłaty i pożyczki, dodajmy opłaty po starych cenach, wynoszą 19 tys. zł na wy-

żywienie wydajecie 50 tys. zł stąd wniosek, że te pozostałe 4 tysiące musi już starczyć na kulturę, rozrywkę, przyjemności i zależeństwa. Niebagatelną sumą w waszym budżecie będą dodatki na dzieci. Tu chciałabym was pocieszyć, że nie kosztuje was nie komunikacja. W dużym mieście, opłaty za przejazdy stanowią już niebagatelną sumę.

— Mówi pani rozrywkę, zależeństwa — nie mamy na nie czasu, jak wynika z analizy naszych portfeli i pieniędzy. Żyjemy na pewnym luzie, nie mamy takich ambicji, żeby mieć ciągle nowe przedmioty, ubrania — zresztą na własnych maksymalnie oszczędzamy. Ale nie mamy też ani energii, ani finansów na prowadzenie życia towarzyskiego, które jak wiadomo kosztuje.

Nasze inwestycje i ambicje — to dzieci. Bardzo chcemy, żeby zdobyły dobry zawód. Jak dotąd wszystkie uczą się na czwórki i piątki. Najstarsza — Aldona kończy w tym roku liceum, wybiera się na medycynę. Andrzej kończy podstawówkę i marzy o szkole elektronicznej — a najbliższa w Warszawie. Jeszcze więc w tym roku, jeżeli dobrze pójdzie, aż dwójce opuści nasz dom. Gośka — za rok myśli o SGGW. To zmienić nam trochę życie i finanse. O tym możemy porozmawiać za rok. Natomiast, jak każdy, potrzebujemy zmiany, chcemy na przykład trochę urozmaicić sobie wolne od pracy dni. Postawiliśmy na rekreacyjny, rodzinny sport — rowerowe wycieczki (tu pan Aleksander pokazuje mi nowiutkie rowery). Czekamy na wiosnę i lato. Tym bardziej że wakacje spędzamy w domu, tylko raz, dziewięć lat temu byliśmy na wczasach w Darłowie. Dzieci na dwa, trzy tygodnie wyjeżdżają z domu na obozy, kolonie.

— Nie mogę opuścić państwa, zanim nie zadam pytania, które samo nasuwa się od początku rozmowy — dlaczego, mimo tak skromnych zarobków, pracujecie w oświacie.

— Bo to jest nasz zawód, z nim wiążemy kiedyś i tak jest nadal, spore ambicje zawodowe. Przede wszystkim mają — modernizuje, a właściwie urządza razem z uczniami od nowa cały zespół pracowni wychowania technicznego w swoim liceum. Zna się na tym i lubi to. Interesuje się informatyką, elektroniką, dużo na ten temat czyta, ciągle siedzą z Andrzejem nad „Komputerem”, „Bajtkiem” i innymi tego typu czasopismami. Ja mam mniej czasu, ale praca z sześciolatkami też wymaga przygotowania się do zajęć, szukania pomysłów, żeby je przygotować do szkoły lepiej, żeby było ciekawiej. Trudno jednak wybierać między ambicjami zawodowymi a odpowiedzialnością za rodzinę. A czas są takie, że walka o byt zajmuje w naszych staraniach poczesne miejsce. Wierzymy, że przyjdą lepsze lata.

LIDIA JASTRZĘBSKA

Pani Annie, jej koleżankom z Płońska, wszystkim nauczycielkom i pracownikom oświaty życzymy, aby im ubyłó trosk.

SEJMOWA KOMISJA OŚWIATY GOŚCIŁA PRZEDSTAWICIELI CIMEA

DZIECIOM BEZ DZIECIŃSTWA

Trzydzieści lat temu, 15 lutego 1958 roku, Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej — dostrzegając potrzebę koordynacji działań różnych organizacji dziecięcych — powołała do życia Międzynarodowy Komitet Ruchów Dziecięcych i Młodzieży Dorastającej (CIMEA). Od początku istnienia jego głównym celem jest propagowanie idei pokoju i niesienie pomocy dzieciom, zamieszkującym kraje dotknięte wojną.

CIMEA szybko zasymilowała się ze światowym ruchem dzieci i młodzieży. Liczba jej członków, z dziesięciu organizacji założycielskich (głównie europejskich — wśród nich znalazł się również ZHP) wzrosła do osiemdziesięciu, działających w Azji, Afryce, Ameryce Łacińskiej. Stopniowo nawiązał się dialog i współpraca organizacji dziecięcych z państwami o różnych systemach politycznych.

Od lat CIMEA wspiera, wysyłając żywność, odzież i przybory szkolne, dzieciom z Wietnamu, Chile, Namibii, Południowej Afryki, Nikaragui. Bierze udział w kampaniach (m. in. na rzecz budowy szpitala dziecięcego w Hanoi i sierocinca w Nikaragui). Organizuje seminaria poświęcone upowszechnianiu Deklaracji Praw Dziecka i problemom wychowawczym, międzynarodowe obrazy przyjaźni, imprezy kulturalne (festiwale filmów dziecięcych, przeglądy dzieł literackich, zespołów artystycznych, wystawy, konkursy). Jest stałym partnerem największych międzynarodowych zawodów sportowych dzieci i młodzieży — Lekkoatletycznego Czwórboju Przyjaźni.

Z okazji jubileuszu w Warszawie odbyła się uroczysta sesja Prezydium CIMEA, podczas której honory gospodarza pełnił Związek Harcerstwa Polskiego — stały organizator dziecięcego obozu w Chorzwie i Międzynarodowego Forum Doświadczeń Instruktorskich w Oleśnicy. Przedstawiciele organizacji członkowskich CIMEA (reprezentanci pionierów francuskich, wietnamskich, kubańskich, z NRD, Nikaragui, Norwegii, Berlina, Zachodniego i Mongolii) spotkali się z Prezydium Komisji Edu-

kacji Narodowej, działającej przy Sejmie. Nasze inwestycje i ambicje — to dzieci. Bardzo chcemy, żeby zdobyły dobry zawód. Jak dotąd wszystkie uczą się na czwórki i piątki. Najstarsza — Aldona kończy w tym roku liceum, wybiera się na medycynę. Andrzej kończy podstawówkę i marzy o szkole elektronicznej — a najbliższa w Warszawie. Jeszcze więc w tym roku, jeżeli dobrze pójdzie, aż dwójce opuści nasz dom. Gośka — za rok myśli o SGGW. To zmienić nam trochę życie i finanse. O tym możemy porozmawiać za rok. Natomiast, jak każdy, potrzebujemy zmiany, chcemy na przykład trochę urozmaicić sobie wolne od pracy dni. Postawiliśmy na rekreacyjny, rodzinny sport — rowerowe wycieczki (tu pan Aleksander pokazuje mi nowiutkie rowery). Czekamy na wiosnę i lato. Tym bardziej że wakacje spędzamy w domu, tylko raz, dziewięć lat temu byliśmy na wczasach w Darłowie. Dzieci na dwa, trzy tygodnie wyjeżdżają z domu na obozy, kolonie.

Goście, po zapoznaniu się z polskim systemem oświatowym mieli okazję uzyskać informacje, dotyczące szczególnie interesujących ich kwestii: pracy z uczniem wybitnie uzdolnionym, pozycji związku zawodowego nauczycieli, relacji — szkoła a Kościół katolicki, szkolnictwa zawodowego, prestiżu nauczyciela, wkładu ZHP w prace komisji. Jej przewodniczącą — Kazimierz Piłat i wiceprzewodniczącą — prof. Mikołaj Kozakiewicz w swych wyjaśnieniach zwrócili uwagę, że irracjonalne w kraju reformy ekonomiczne ma swoje implikacje w oświacie. Rodzą się pytania: czy istnieją jest dotychczasowa praktyka dawania priorytetu kształceniu zawodowemu? Czy nie należałoby raczej sadzać o solidne wykształcenie ogólne młodzieży, co umożliwiłoby jej zachowanie elastyczności zawodowej i szybsze przystosowywanie się do zmiennych warunków ekonomicznych? Pytania te pozostają na razie bez odpowiedzi. Jednak podstawowy problem, nurtujący polską oświatę, to — obok kryzysu ekonomicznego — kryzys świadomościowy, znikający odbicie w zalananiu się taktyki i strategii wychowawczej. Przerwanie reformy strukturalnej w szkolnictwie nie zahamowało reformy programowej, spowodowało to spletnienie materiałów nauczania, przeładowanie nimi uczniów i zepchnięcie wychowanie na drugi, po przekazywaniu wiedzy, plan. Jednocześnie, pod wpływem negatywnej oceny własnych, życiowych perspektyw, młodzież przewartościowała swój stosunek do państwa, ideologii, polityki. Organizacje młodzieżowe utraciły zaufanie, upadł autorytet nauczyciela. W

związku ze znacznymi podwyżkami cen, gwałtownie obniżył się poziom życia tej grupy zawodowej, czego jedną z konsekwencji był dalszy spadek prestiżu zawodu. ZNP jednocześnie określili swój stosunek do problemu pauperyzacji nauczycieli, a komisja opracowała w tej sprawie dezyderat do prezesa Rady Ministrów z żądaniem powzięcia natychmiastowych decyzji.

Omawiając relacje pomiędzy Kościołem a szkołą prof. Kozakiewicz podkreślił, że nie może ona nie uwzględniać charakteru społeczeństwa. Z badań wynika, że w szkołach średnich odsetek młodzieży uczęszczającej na lekcje religii nie spada poniżej 60—65 proc. Prawde mówiąc, nie mamy tak dużo nauczycieli marksistów — powiedział profesor — a nauczycieli wierzących jest ok. 65 proc. Stąd rozbieżność między teorią szkoły, opartej na podstawach materializmu, a praktyką. Nigdy się nie zdarzyło — dodał — aby uczniowie byli indoktrynowani przez monolitycznych nauczycieli.

Zainteresowani współpracą harcerstwa z Komisją Edukacji Narodowej, członkowie CIMEA dowiedzieli się, że to właśnie ZHP był inicjatorem nowelizacji Konstytucji Ucznia, badań nad samorządnością w szkole, wycieczkami i stanem opieki zdrowotnej nad dziećmi i młodzieżą. W komisji zasiada przysięgły instruktorów harcerskich, wśród nich naczelnik ZHP Ryszard Wośński.

Na zakończenie spotkania sekretarz generalny CIMEA — Sándor Molnár wręczył prezydium komisji upominek — symbol organizacji. Jest nim figurka Vicki — postaci, która w myśli kodeksu, obowiązującego członków CIMEA — „kochą wszystkie dzieci świata”.

Sesja w Warszawie, oprócz podsumowania trzydziestoletniej działalności CIMEA, poświęcona była również opracowaniu zadań na najbliższą przyszłość. „Nadal 20 mln dzieci umiera każdego roku z głodu i chorób, które mogłyby być wyeliminowane” — stwierdził prezydent organizacji Jean Baptiste Dzungue. Wysoki CIMEA skierowane będą na rozpowszechnienie i usprawnienie informacji o dzieciach, których spokojne dzieciństwo jest zagrożone. Organizowane będą kampanie na rzecz dzieci z obozów uchodźczych w Namibii, sierot z Angoli i Mozambiku. Prezydium CIMEA zamierza również rozszerzyć współpracę z Międzynarodowym Ruchem Sokolskim, Międzynarodową Organizacją Skautów i Międzynarodowym Ruchem Letnich Wiosek Dzieci, a więc z organizacjami, które — pomimo różnych orientacji politycznych — dążą do wychowywania dzieci w duchu pokoju.

Związek Harcerstwa Polskiego, który przewodniczy dwóm grupom roboczym CIMEA, czeka praca nad zagadnieniami ochrony środowiska i praw dziecka. Projekt Konwencji Praw Dziecka, którego autorem jest prof. Adam Łopata, wkrótce ma zostać ukończony. W 1989 roku odbędzie się w Warszawie międzynarodowe seminarium CIMEA poświęcone sytuacji dziecka na świecie. ZHP przygotowuje obecnie dla dziecięcej organizacji nikaragwianskiej podręcznik — poradnik dla kadry instruktorskiej. W tym roku przyjecha do Polski na wycieczkę dzieci z Nikaragui.

Podczas sesji Prezydium CIMEA nie zabrakło imprez kulturalnych. Goście przyjmowani byli przez warszawskie drużyny harcerskie, wystąpił dla nich zespół „Gawęda”.

MAGDALENA GROCHOWSKA

Pilkarskich fanów znad Wisły uspokajam, że nie będzie tu o sporcie, chociaż rywalizacja przypomina wieloletnie igrzyska z wynikiem dodatnim dla Bułgarów. A wszystko zaczęło się jeszcze w latach sześćdziesiątych. W owym czasie często można było wyczytać w polskiej prasie anonсы, iż obywatel bułgarski X, Y, Z, bronił będzie pracy doktorskiej lub habilitacyjnej na którejś z polskich uczelni. W rachubę najczęściej wchodziły: Warszawa, Gdańsk, Wrocław lub słynna Jagiellonka. Tytuły owych dysertacji również były niebanalne: „Sterowanie nauki i techniki”, „Robotyzacja w przemyśle maszynowym” albo „Elektronika i robotyzacja”. Ponieważ któryś nad Wisłą pokpiwali, że niby kudy tamtym do nas, a tymczasem...

SŁOWO STAŁO SIĘ FAKTEM

Po dwudziestu z górą latami od tamtych uczelnianych inseratów, stać oko w oko z XXI wiekiem. Ma to miejsce w Bułgarii, konkretniej w mieście Stara Zagora, a ściślej mówiąc w fabryce robotów przemysłowych. Gościa z Polski oprowadza, co jakby symboliczne, absolwent wrocławskiej Alma Mater.

Olbrymia, nowo zbudowana na przedmieściu hala, wszędzie szkło i stal. Z salki na piętrze, przez oszkloną ścianę dobrze widać, co się dzieje na dole. Oto z końca hali rusza po wyznaczonej na podłodze linii — „mądry wózek”, załadowany pojemnikami, z detalami i narzędziami. Urządzenie zatrzymuje się przy zaprogramowanych stanowiskach, zostawiając na ich pulpach niezbędne części. Innym razem zaopatruje pozostałe roboty, i to bez przerwy, pośpiechu oraz nawoływania w rodzaju:

— Felek! Podaj czternastkę!

Kolorowe ramiona robotów, również bez pośpiechu, jakby na przedstawieniu pan-

wem. Tutaj co krok, to historia. Przed wojną, do pewnej wioski w północnej Bułgarii przybyła grupa mierniczych dla dokonania ustaleń gruntów. W jednej z zagród natknęli się na oblepione błotem naczynie, w którym podawana była trzodzie karma. Chociaż fachowcami od archeologii nie byli, dziwnym wydał im się kształt naczynia. Stuknął któryś młotkiem, błoto odpadło, a ich oczom ukazało się... szczere złoto. Bagatelka, kilkanaście kilogramów! Taki był początek odkrycia słynnego Skarbu Traków, teraz eksponowanego w muzeum historycznym Sofii.

Gdy w centrum stolicy przebudowywany był kilkanaście lat temu węzeł komunikacyjny, natrafiono pod ziemią na dobrze zachowaną świątynię z początków naszej ery. Odkopano ją, zakonserwowano, a wokół, zamiast ronda powstał podziemny pasaż handlowy. Gdy na górze dudnią koła tramwajów, zaś niebo nad nami przecinają smugi odrzutów, sięść tu można nad porcjami lodów, pokontemplować, zrobić zakupy. Podobnie zresztą było niedawno w Płowdiwie, gdzie przy robotach budowlanych wyłonił się nagle spod ziemi antyczny teatr grecki, w zupełnie dobrym stanie. Nie potrzebował nawet wielu zabiegów konserwacyjnych. Teraz służy współczesnej scenie, a słyszalność w każdym miejscu widowni znakomita.

Albo jest wioska Rogozen nieopodal delty Dunaju. Miał wieśniak kłopoty z wyjazdami samochodem z podwórka na szosę, więc postanowił obniżyć jego poziom. Pięćdziesiąt centymetrów pod powierzchnią łopata natrafiła na srebrne naczynie wyglądem nie przypominające współczesnych. Powiadomił władzę, przybyli archeologowie i na podwórku odkryto sto sześćdziesiąt osiem srebrnych cacek z epoki trackiej. Eksponowane w 1987 roku na wystawie w Londynie, wzbudziły podziw całego cywilizowanego świata.

chodzących przemian w dziedzinie techniki oraz sens rewolucji technicznej, o której coraz częściej wspominało na Zachodzie. Jednak politycy bywają konserwatywni. Półki co milczeli, ale uwadze naukowca nie uszło to, że na ich biurkach pojawiać zaczęły się prace z zakresu matematyki, psychologii i logiki. Od politycznej wykładni tychże, przecież do elektroniki i cybernetyki już tylko krok. To był sukces!

W Bułgarii końca lat sześćdziesiątych tworzyć zaczęto, początkowo jakby nieśmiało i pod kontrolą KC, później bardziej zdecydowanie, zespoły do których powoływano naukowców z dorobkiem i w wieku lat 28—35. Nie było w nich starszeństwa, ni formalnych struktur, co sprzyjać miało wymianie poglądów. Rozszalała więc burza mózgów, a przecież o nią chodziło. W roku 1968 wyłonił się z niej Komitet Badań i Elektroniki, na czele którego stanął czterdziestoletni wówczas profesor Stojan Markow. Komitet otrzymał polecenie opracowania dla Bułgarii jednolitego systemu, gdy o postęp i rewolucję naukowo-techniczną szło. System taki był gotów już w dwa lata. W kraju rozgorzała nad nim dyskusja, na której tylko nie poprzestano. Władze polityczne i państwowe nie zapomniały spraw najważniejszych, a to: szkolenia kadr i kontaktów międzynarodowych.

Gdy o ostatnie chodziło, niemalą rolę odegrał istniejący w Wiedniu Międzynarodowy Instytut Badań Systemowych, do którego byli kierowani młodzi bułgarscy naukowcy. Szli oni też na studia w innych państwach, w tym również do Polski, która wtedy — w kwestii maszyn cyfrowych — wyprzedzała Bułgarię. Taka polityka musiała przynieść owoce. Nim jednak do tego doszło, pokonać trzeba było wiele trudności, również nawyk konserwatywnego myślenia na wierzchołkach struktur partyjnych i państwowych.

JERZY BRONISŁAWSKI

BUŁGARIA - POLSKA 15:1

tomimy, dobierają właściwe części, montowane w ściśle określonym porządku. W zakładzie, w którym znajduje się powstają maszyny nazwane symbolami, np. RB-112. Innymi słowy, automat produkuje automaty, a rola człowieka sprowadza się tylko do nadzoru. Czynią to właśnie na dole trzej inżynierowie zerkający na kolorowe lampki, które bez przerwy migoczą.

— Niedawno gościliśmy tutaj Amerykanów i Japończyków — informuje cicerone. Wierzyć nie chcieli, że doszliśmy do takich rezultatów. Dopiero gdy pokazaliśmy im komputery made in Bulgaria, czwartej generacji — uwierzyli. Na biurku dyrektora zakładu leży korespondencja z Tokio, jakby na dowód tego, że inżynier prawdę mówi, a na dziedzińcu opakowany w skrzynię gotowy produkt, który wkrótce popłynie do Nipponu.

O tym, iż u bułgarskich pobratymców nie jest to sztuka dla sztuki, zaś robotyzacja i komputeryzacja obejmować zaczyna coraz szersze kręgi gospodarki, przekonać się już mogłem następnego dnia, w rolniczym agrokompleksie nieopodal Starej Zagory, który współpracuje z naszym Instytutem Sadownictwa pod Skierniewicami.

— Musimy wiedzieć co się na naszych ziemiach dzieje — informuje zastępca dyrektora, prowadzący do hali, gdzie zainstalowano komputery. One teraz spełniają rolę włodarzy. Bez wahnięcia podają, ile kombinat uzyskał tego dnia mleka, jak wygląda nawożenie ziemi, co z orkami, a nawet jaka jest aktualnie temperatura gleb. Informacje płyną dwukierunkowo — centralnie do dyrekcji, a także w odwrotną stronę, w formie poleceń i dyrektyw.

Gdzieś indziej, w sterylnie zamkniętych pomieszczeniach, niczym w salach operacyjnych, pochylone laborantki w białych fartuchach. Zadaniem ich jest wyhodowanie nowych sadzonek, bez grzybic i chorób wirusowych, które — jak wiadomo — rzutują na wysokość plonów. W agrokompleksie pracuje się również nad nowymi odmianami truskawek i jagód, dotychczas raczej rzadko spotykanych na bułgarskiej ziemi. Strzeżcie się więc polscy eksporterzy! Rychło bowiem okazać się może, iż tamte, bułgarskie będą wydajniejsze i lepsze w smaku.

— Jest nasza ambicja — słyszę — aby do końca tego wieku wydajność bułgarskiego rolnictwa wzrosła trzy, a nawet pięciokrotnie. Gościowi nie wypada nic innego, tylko życzyć, by udało im się to jak najlepiej.

DZIEŃ DZISIEJSZY I HISTORIA

Przyznaję, że ilekroć schodzę na bułgarską ziemię, czynię to z niejakim nabożeństwem.

Jest też najstarsza pamiątka ludzkości w Starej Zagorze. Gdy miastu potrzebny był niedawno nowy szpital, zaczęto kopać fundamenty. W trakcie prac, budowniczy odkryli siedlisko prehistorycznego człowieka. Fachowcy orzekli, iż osada pochodzi z szóstego tysiąclecia przed naszą erą. Szpital wybudowany został sto metrów dalej, nad wykopaliskiem natomiast wzniesiono muzealny pawilon. Można się tu dowiedzieć jak żyli nasi przaszczurówie, w jaki sposób budowali swoje domy, w co się ubierali, a także jaką ich damy (tak, tak!) nosiły biżuterię! Osiemdziesiąt wieków patrzy na nas! — caciłoby się wykrzyknąć, gdy człowiek patrzy na te cuda, zaś w linii prostej stąd półtora kilometra widnieją kontury fabryki robotów przemysłowych...

WPIERW BYŁA IDEA

Gdy o tworzenie świata chodziło, naukowcy po dzień dzisiejszy nie bywają jednomyślni, co było wpraw — materia czy duch? Inaczej rzecz się przedstawiała w kwestii robotyzacji i komputeryzacji w Bułgarii.

Niespokojnym duchem okazał się tu profesor Angel Bulewski. Ten laureat nagrody RFN w dziedzinie techniki i autor ponad dwustu patentów, sporo widział w świecie. W 1964 roku był na światowej wystawie w Brukseli, gdzie jego uwadze nie uszło zgoła interesujące zjawisko. Oto przed każdym z wbiegających w przyszłość eksponatów gromadziła się grupa skosnookich Japończyków śledzących funkcjonowanie nowoczesnych konstrukcji, a przecież kraj Kwitnącej Wiśni był wtedy daleko w tyle, gdy o postęp techniczny chodziło.

Sporo tematów do przemyśleń daly też bułgarskiemu naukowcowi spotkania z innym Bułgarem, osiadłym na stałe w USA profesorem Bardinem — współtwórcą amerykańskiej komputeryzacji i laureatem nagrody Nobla. Świat wchodził w epokę, która miała być później nazwana rewolucją naukowo-techniczną i tak było rzeczywiście. Olbrzymie gabarytowo i energochłonne maszyny cyfrowe, które co prawda wyprzedzały mózg ludzki, gdy o obliczenia chodziło, zastępowano teraz tranzystorami, w odkryciu których nie miały udziału właśnie... Japończycy. Zminiatyzowana i potrzebująca niewiele energii technika już ich nie zaspokajała. Coraz częściej teraz zaczęto mówić o generacji trzeciej, zintegrowanej na płytkach, które były wielokrotnie wydajniejsze od stosowanych dotychczas. Rozpoczynał się szaleńczy wyścig w przyszłość, a kto za nim nie podąża, ten musi się cofać.

Rozumiał to profesor, który z racji funkcji prezesa Bułgarskiej Akademii Nauk, często spotykał bułgarskich przywódców, w tym Todora Żiwkova. Cierpliwie, z wytrwałością naukowca tłumaczył sens za-

„BRODACZE” NA PLENUM KC

Pojawili się tu dopiero w lipcu 1986 roku, gdyż kierownictwo polityczne państwa i BPK stosowały zasadę stopniowego wprowadzania w życie wszelkich nowinek. Otwarciu o nich mówić zaczęto na partyjnym forum w roku 1967, wspominając o potrzebie szkolenia kadr dla informatyki, cybernetyki i elektroniki. Rok później już, w referacie Biura Politycznego BPK zatytułowanym: „Podstawowe kierunki dalszego rozwoju systemu społeczeństwa socjalistycznego w LRB” znalazło można niespotykane dotąd w partyjnym leksykonie słowa: „samorządność”, „decentralizacja”, „konkurencja”, „jednolity system informatyczny”, „specjalizacja” i inne.

Nie wszystko z tamtych dokumentów zostało wprowadzone w życie, to oczywiste. Najważniejszą jednak była uchwała, iż raz w roku mają się odbywać posiedzenia KC poświęcone nauce — przede wszystkim moltiplicacji, tj. mnożeniu i popularyzowaniu jej osiągnięć. W tej sprawie też został opracowany kompleksowy program. Radzieccy naukowcy, którzy zapoznali się z nim w 1975 roku, byli zaskoczeni, lecz kierownictwo polityczne Bułgarii poszło za ciosem. Trudno wymienić chociażby część wysiłków, jakie w związku z tym zostały włożone, gdy o naukę i organizację chodziło. Faktem natomiast było lipcowe plenum KC, z roku 1986.

Pojawili się na nim dziwnie ubrani „brodacze”, których dostojne mury dotąd nie oglądały. Żyjący też był inny i do wyobraźni zebranych starali się przemówić słownikiem cyfr i wzorów, a do takiego przeciętne ucho nie nawykło. Mówili o przeobrażeniach, jakich dokonano w Bułgarii i tych, które ją jeszcze czekają. A mieli się czym pochwalić. Jeszcze w 1970 roku kraj był na dwudziestym ósmym miejscu w świecie, teraz znajdował się na... szóstym.

— Nie eksport płodów rolnych, jeno sprzedaż za granicę elektroniki winien być w przyszłości dla Bułgarii najważniejszy! — zabrzmiało jak wyzwanie, zaś tu i ówdzie rozległy się głosy protestu.

— Jak to?! Podcinać własną gałąź?

„Brodacze” na to nie zważali. Mówili o czwartej i piątej generacji, o biokomputerach, inteligentnych maszynach, bez dotychczasowych mikroprocesorów już, które wykonywać będą setki milionów, a nawet miliardy operacji na sekundę. Znowu padały niezrozumiałe słowa: „moltiplicacja”, „high technology”, „OMIR”, „BULPAK”, „naukowe odpady”.

— A to co znowu takiego? — ktoś zapytał, bo słowo „odpad” zawsze kajarzy się z czymś negatywnym. Okazało się, iż one właśnie, te naukowe odpady — dawno zawojowały już codzienne życie Bułgarów i coraz szerszą strugą weni się wdzierają.

Przecież to nic innego jak radia tranzystorowe, telewizory, magnetofony, aparatura video, kalkulatory, elektroniczne zegarki i tuziny innych codziennego użytku. Padają swojskie nazwy: „Witosza”, „Elka”, „Stenoki”, „Pravets” i wszystko stawało się jasne.

— Jakże z tego wymierne korzyści? — nie wytrzymuje, aby nie zadać tego pytania.

Cicerone uśmiecha się.

— Przede wszystkim nie odstajemy i podążamy za światową czołówką...

Obywa się to wielokierunkowo. OMIR w Bułgarii, to zjednoczona sieć rezerw informacyjnych, razem osiemnaście linii, połączona z europejską i USA. Przez nią mają bułgarscy naukowcy niejako wgląd we wszystko, co się tam dzieje. Rzecz jasna, iż darmo się to nie odbywa. Roczny abonament kosztuje 350 milionów dolarów, plus opłata za każde podłączenie, ale per saldo rzecz korzystna — eliminuje potrzebę własnych badań od podstaw.

Uzupełnieniem powyższego jest sieciowy system informatyczny dla ludności — BULPAK, bez którego nie można byłoby mówić o komputeryzacji kraju. Wgląd w japońskie osiągnięcia ułatwiają mieszane przedsiębiorstwa japońsko-bułgarskie. Jak dotychczas istnieją dwa tego rodzaju zrzeszenia. ATLAS z siedzibą w Tokio, gdzie prezesem jest Japończyk, a jego zastępcą Bułgar i sofijskie VANUK-MASHINEX, w którym funkcje kierownicze zostały odwrócone. Gdy o RFN, Austrię i Francję chodzi, ma Bułgaria kilkadziesiąt podobnych organizacji, ale na tym sprawa się nie kończy.

Również attachaty naukowe za granicą obsadzone zostały przez kompetentnych ludzi. Szczególnie silnie są one reprezentowane w USA i Japonii, lecz nie tylko. U nas, w Warszawie funkcję tę pełni pan Lubomir Dżagarow, absolwent wrocławskiego uniwersytetu, świetnie znający język polski.

A korzyści? Są one już bardzo wymierne, skoro amerykańskie czasopismo fachowe „Lieders” niedawno stwierdzało, że w eksporcie elektroniki, przeliczając na jednego mieszkańca, pierwsze miejsce w świecie zajmowała... Bułgaria!

CZEGO SIĘ JAS NIE NAUCZY...

Nasze przysłowie przypominało sobie, w czasie odwiedzania dwunastoletniej szkoły dostosowanej do kształcenia młodzieży w nowym systemie. Jest ona usytuowana w nowo zbudowanej dzielnicy Lalin, na przedmieściach Sofii. Szkoła nosi imię Indiry Ghandi i z zewnątrz niczym od innych się nie wyróżnia. Na boisku część młodzieży uprawia gimnastykę w październikowym słońcu, zaś jej inna grupa w tym czasie zajęta jest nauką pływania na krytym szkolnym basenie.

Pani wicedyrektor (z wykształcenia pedagog i informatyk) prowadzi do środka. Podłogi lśnią blaskiem, wszędzie czystość sterylna. W klasie pierwszej sześciolatek brzdąca uczy się właśnie pisanie cyfr. Na pytanie które z nich widziało już komputer, trójka tłustych łapek unosi się ku górze...

W klasach II i III, na piętrze, są już początki informatyki. Nauczyciel demonstruje na modelach, objaśniając sens przedmiotu. Im jednak wyżej, tym wnętrza coraz bardziej nafaszerowane elektroniką, zaś sale w niczym nie przypominają tradycyjnych klas lekcyjnych. Tutaj na początek wystarczają komputery ośmiobitowe, dawno już wycofane z produkcji. W klasach IV—VI zajęcia prowadzone są na szesnastobitowych „Pravetsach”. Trafiamy na lekcję geografii. Wykładowca zadaje pytania, zaś młodzi ludzie, zapatrzeni w monitory udzielają odpowiedzi.

Na trzecim piętrze mamy już do czynienia z aparaturą profesjonalną, oznaczoną symbolami 720T i 1039. Język też inny niż w klasach młodszych. Od klasy IX prowadzona jest nauka programowania, a w ostatnich dwóch klasach, praktyczne nauczanie zawodu. W dwóch salach wykładowych istnieje coś, co przypomina w miniaturowej fabryce robotów ze Starej Zagory — też miniroboty, produkują jakieś minide-tale.

— Sztuka dla sztuki?

— Nie! Szkoła ma umowę z zakładami produkcyjnymi. Uczniowie na ich zamówienia, wykonują dla przemysłu elektronicznego potrzebne detale. Stajemy się przez to samowystarczalni. W ten sposób w ubiegłym roku do kasy wpłynęło sporo pieniędzy. Możemy kupować więc nowe pomoce szkolne i utrzymywać w stałej sprawności szkolny komputer, który ułatwia pracę dyrekcji... — zaraz też zademonstrowana została jego funkcja. Na monitorze ukazują się pozycje, jakie zajęcia aktualnie prowadzone są w szkole, ilu wykładowców nieobecnych, kto ma zwolnienie lekarskie, a także jak wygląda absencja uczniów. Założmy, że tego rodzaju placyków w Bułgarii jest jeszcze niewiele, ale istnieje przecież w kraju 700 klubów, w których młodzież ma do dyspozycji 30 tys. komputerów, ucząc się systematycznie ich wykorzystania w życiu.

A my, Polacy? Dalej nasza młodzież zabawiał się będzie w podziemnych pasażach grą z „Jednorękim złodziejem”? Wystarczającym okazać się „dziki import”? Może jednak warszawski „Express Wieczorny” miał rację, opatrzyć 8 grudnia ub. roku swoją publikację jakże wymownym tytułem: „Polska elektronika jedzie w auto-karze z napisem — koniec!”

**TWÓRCA
KLUBU
RZYMSKIEGO
O SZANSACH
I
ZAGROŻENIACH
WSPÓŁ-
CZESNEGO
ŚWIATA
ORAZ
ZADANIACH
EDUKACYJNYCH**



Fot. M. Suchecki

W numerze 2 z bieżącego roku — w artykule pt. „To nie Arkadia, to konieczność” zajęliśmy się najistotniejszymi problemami współczesnej cywilizacji i kultury, prezentując przebieg konferencji, zorganizowanej przez Komitet Prognoz Rozwoju Kraju „Polska 2000” — Polskiej Akademii Nauk, poświęconej strategii obrony i rozwoju cywilizacji humanistycznej. Kontynuując tę, tak ważną — zarówno z uwagi na dzień dzisiejszy, jak i najbliższą przyszłość nas wszystkich, ze względu na jej bezpośrednie związki z kwestiami edukacyjnymi — problematykę, przedstawiamy obecnie poglądy na temat szans i zagrożeń współczesnego świata — założyciela i pierwszego prezydenta Klubu Rzymskiego, Aurelio Pecceiego.

To On napisał: „być w pełni człowiekiem — zawsze wymagało szczególnych kwalifikacji”.

I zauważył: „Homo sapiens nie jest już tym, czym był, ani tym, czym wyobrażaliśmy sobie, że był (...). Wizja istoty o harmonijnych proporcjach doskonale wkomponowanej w swoje naturalne środowisko, jaką pozostawił nam Leonardo da Vinci, jest umieszczona obok zdeformowanego człowieka współczesnego, umiejscowionego w środowisku, które kapryśnie sam przekształcił...”

Aurelio Peccei — założyciel i pierwszy wieloletni prezydent Klubu Rzymskiego. Człowiek, dla którego cywilizacja współczesna nie miała żadnych tajemnic. Jak mało kto znający źródła wszelkich napięć i konfliktów, mechanizmy ekspansji i zacofania gospodarczego dzisiejszego świata.

Znał wszystkie kontynenty, pracował w krajach uprzemysłowionych i bogatych, ale także w rejonach zacofanych, nędzy i ubóstwa, kierował wielkimi przedsiębiorstwami, inicjował i prowadził akcje gospodarcze mające służyć rozwojowi krajów zapóźnionych, uczestniczył w pracach najróżniejszych międzynarodowych organizacji naukowych i społecznych.

Twórca „dzieła” niezwykłego — Klubu Rzymskiego — rzucającego wyzwanie zadowolonemu z siebie, egoistycznemu światu to osobowość istic renesansowa. Jego biografia mogłaby stanowić doskonały scenariusz do atrakcyjnego filmu. Urodzony w 1908 roku w Turynie. Po ukończeniu studiów uniwersyteckich w dziedzinie nauk ekonomicznych, jakiś czas spędził w Paryżu, na Sorbonie, a następnie w Związku Radzieckim (stad znajomość języka rosyjskiego). Kilka lat pracował w turyńskich zakładach Fiata, później został oddelegowany do Chin, gdzie kierował przedsiębiorstwami włoskimi aż do 1939 roku (w okresie wojny brał udział w antyfaszystowskim ruchu oporu, aresztowany, cudem uchronił z życiem). Po wojnie — podróże po Azji, Afryce, Ameryce Północnej. Organizuje filie zakładów Fiata w Ameryce Południowej. Następnie obejmuje kierownictwo włoskiej organizacji powołanej do eksportu włoskiej myśli technicznej, inicjatyw przemysłowych i handlowych — zwłaszcza do krajów Trzeciego Świata. Później łączy tę funkcję z obowiązkami kierowania zakładami przemysłowymi Fiata w Buenos Aires. W tym czasie ponad 300 razy przelatywał Atlantyk!

Nic więc dziwnego, że nic, co ze współczesną techniką i cywilizacją związane, co dotyczy sytuacji w krajach najbogatszych i rejonach najbiedniejszych, nie było temu ekonomistom z wykształcenia, a humanistom z postawy i przekonań — obce. Przedstawiając zagrożenia i szanse współczesnej cywilizacji, analizując ją od najróżniejszych stron, powie zdecydowanie: „W tej analizie zawsze będę traktował człowieka jako kamień probierczy i punkt odniesienia. Będę do niego powracał wielokrotnie, ponieważ w końcu wszystko zależy od niego”.

MIEDZY PRZEŻYĆ A ZGINAĆ

HENRYKA WITALEWSKA

Kilka lat temu pisał: „...mimo pozornie dokonującego się nadal postępu, rodzaj ludzki w rzeczywistości traci ziemię pod nogami i wchodzi w etap upadku kulturalnego, duchowego i etycznego, a może i egzystencjalnego...”. I jednocześnie dodawał: „... na obecnym etapie ewolucji ludzkości wszyscy musimy nauczyć się tego, czego powinniśmy się nauczyć — i tego się nauczyć”. Cytaty te pochodzą z przemowy Aurelio Pecceiego do Raportu Klubu Rzymskiego dotyczącego edukacji — uczenia się „bez granic”, przedstawionego w czerwcu 1979 roku na konferencji Klubu Rzymskiego w Salzburgu. Raportu, który odbił się szerokim echem w świecie (przypomnijmy — w Polsce ukazał się w 1982 roku, nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego, pt. „Uczyć się bez granic. Jak zewrzeć lukę ludzką”) a którego autorami są: James W. Botkin, związany z Międzynarodowym Ośrodkiem Studiów Integracyjnych w Nowym Jorku; Mahdi Elmandjra — profesor na uniwersytecie Mahomeda V w Rabacie, były prezes Federacji Studiów nad Przyszłością Świata oraz Mircea Malita — profesor na Wydziale Matematyki na Uniwersytecie Bukareszteńskim, były minister oświaty w Rumunii.

★

Do tej pory Aurelio Peccei był u nas (poza garstką specjalistów) właściwie nie znany. Dopiero teraz mamy okazję poznać bliżej poglądy tej niezwyklej osobowości. Oto nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego, ukazała się jego praca pod wymownym tytułem „Przyszłość jest w naszych rękach”. Książka przełożona — z upoważnienia autora — przez prof. Irenę Wojnar i poprzedzona przedmową prof. Bogdana Suchodolskiego.

To niezwykle ważna publikacja, nie wiem czy nie ważniejsza od głośnej „Trzeciej fali” Alвина Tofflera. Uczy bowiem myślenia i patrzenia globalnego — nie poprzez pryzmat jednego kraju, jednego kontynentu, bloku czy obozu, ale poprzez pryzmat nas wszystkich, całej ludzkości. Bo wprowadza w najtrudniejsze problemy współczesnego świata, stanowiąc zarazem ważny czynnik obywatelskiej i ludzkiej edukacji. Tym bardziej więc szkoda, że niski nakład tej edycji — 3500 egzemplarzy — czyni ją niedostępną dla szerszego grona czytelników.

Panorama ludzkości w dramatycznym momencie jej historii — oto jak najkrócej można określić treść i problematykę tej książki. Choć porusza ona problemy najważniejsze z ważnych, bo możliwość naszego ludzkiego przetrwania — pisana jest w niezwykle jasny i przejrzysty sposób.

Autor zdaje sobie bowiem doskonale sprawę, że po to, by ludzi naprawdę poruszyć, książka musi być „krótka, uczciwa i jasna”; powinna wyjaśniać tragedie, które wciąż narastają, ale równocześnie przekonywać, że są możliwości i środki, by ich uniknąć. I właśnie taką książkę udało mu się napisać — „dającą się przeczytać w ciągu jednego weekendu, ale pobudzającą do myślenia przez cały rok” — jak sam to określił w przedmowie.

Jego rozważania mają charakter osobisty, nie wypowiada się w imieniu Klubu Rzymskiego, który jest grupą nieformalną, gdzie każdy z członków może głosić swoje poglądy i gdzie nikt nie przemawia w imieniu wszystkich; ma jednak nadzieję, że poglądy te — jeśli zaakceptuje je wielu współkolegów — staną się Raportem Klubu Rzymskiego.

Ukazując czynniki negatywne, które określają aktualną fazę upadku, jaki przeżywa ludzkość, Peccei pisze o eksplozji populacyjnej i dewastacji natury, o problemie bezrobocia i „obłąkanej koncepcji bezpieczeństwa”, o ambiwalencji nauki, różnego typu pułapkach i złudzeniach ekonomicznych. O tym, że bogactwa naturalne na naszej planecie zmniejszają się, podczas gdy liczba ludności wzrasta...

Kiedy rozpoczynał się rok 1900, świat liczył 1,6 mld mieszkańców; w ciągu pierwszych 80 lat tego wieku liczba mieszkańców naszego globu niemal się potroiła i obecnie sięga 4,5 mld. Uczeń wyliczył, że dzisiejsza populacja (owe 4,5 mld) stanowi ponad 6 procent ludności wszystkich czasów! Aktualne przewidywania wskazują, że w roku 2000 Ziemia będzie liczyła 6,3 mld mieszkańców! Gwałtownie wzrosła liczba miast-gigantów. W roku 2000 dwadzieścia pięć miast będzie liczyło ponad 10 mln mieszkańców. I tak na przykład — zgodnie z przewidywaniami — Meksyk będzie miał 31 mln mieszkańców, Sao Paulo — 25,8 mln, Tokio-Jokohama — 24,2 mln, Nowy Jork (wraz z New Jersey) — 22,8 mln, Szanghaj — 22,7 mln, Pekin — prawie 20 mln, Bombaj — 17,1 mln, Buenos Aires — 12,1 mln, Delhi — 11,7 mln... Jak będzie wyglądało życie w tych molochach? Czy możliwa będzie tu ludzka egzystencja?

Inna dotkliwa i budząca zawstydzenie „plaga”, to coraz bardziej pogłębiające się różnice między państwami najbogatszymi a najbiedniejszymi. Liczba osób cierpiących głód i niedożywienie jest dziś wyższa niż kiedykolwiek w przeszłości i nie przestaje wzrastać. Zgodnie z obliczeniami — w 1973 roku było 570 milionów niedożywionych.

Kolejny przejaw „upadku człowieka” w naszych, chlubiących się tak bardzo wiedzą i wykształceniem czasach, to ogrom-

na, sięgająca 800 milionów, liczba analfabetów dorosłych, a także 250 milionów dzieci (dane z 1976 roku) nie uczęszczających do żadnej szkoły...

Jednym z najpoważniejszych zagrożeń współczesnego świata jest „obłąkana koncepcja bezpieczeństwa”. Najbardziej totalne, najbardziej absurdałne i także najbardziej bezpośrednie zagrożenie naszego gatunku to samozniszczenie za pomocą środków ściśle naukowych — twierdzi Peccei. Podając niektóre wskaźniki „naszego szaleństwa” zwraca uwagę, że na przykład za cenę jednego czołgu można by wybudować tysiąc sal lekcyjnych dla 300 tysięcy dzieci; że utrzymanie personelu wojskowego w Stanach Zjednoczonych kosztuje corocznie dwa razy więcej niż wynosi budżet na oświatę 300 mln dzieci w wieku szkolnym w Azji Południowej; że cena łodzi podwodnej „Trident” jest równa kosztom rocznego utrzymania szkół dla 16 mln dzieci w krajach rozwijających się...

Peccei przytacza znacznie więcej przykładów ukazujących, że człowiekowi wymknęła się rzeczywistość. Ale ukazując te wszystkie zagrożenia, jednocześnie twierdzi: wszelkich gwarancji przyszłości człowieka trzeba szukać nie gdzie indziej, jak w nas samych. „W istocie ludzkiej tkwią nie wykorzystane jeszcze zdolności do kształtowania wizji przyszłości świata, zdolności twórcze oraz zasoby energii moralnej, które można zmobilizować, aby wybawić ludzkość od czekającego ją niełatwego losu...”

Nieprzypadkowo jego książka nosi tytuł: „Przyszłość jest w naszych rękach”. Ale, aby ta szansa nie została zmarnowana — „trzeba uczyć się tworzenia przyszłości”. Przede wszystkim trzeba nauczyć się kierowania samym sobą. Najpilniejszym imperatywem jest „sprawowanie rozwoju człowieka, bez którego żaden inny rozwój, żaden projekt przyszłości nie będzie możliwy i bez czego ludzkość nie będzie mogła zatrzymać się w wyścigu ku przepaści”; dodajmy tu, że nie żyjący już Peccei jest także autorem studium z 1976 roku „La qualità umana” („Jakość człowieka”), stanowiącego jeden z Raportów Klubu Rzymskiego.

Tak więc ostatnia deska ratunku mieści się „w głębi nas samych”. Owa deska to wewnętrzne bogactwo zasobów „rozumienia, wizji i twórczości”, które stanowi dziedzictwo każdej jednostki, ale które pozostaje zapomniane, nie wykorzystane. Wybór między być i nie być, między przeżyć a zginąć — czy po prostu między przetrwaniem w sposób godny naszego człowieczeństwa — zależy niemal wyłącznie od naszej zdolności zmobilizowania i rozwijania tego naturalnego, ukrytego potencjału, który znajduje się w nas.

Musimy po prostu nauczyć się żyć w zgodzie z nowym, fantastycznym, na pół sztucznym światem własnej kreacji. Zgodnie z sugestiami autora, a także Klubu Rzymskiego — działania powinny się rozwinąć w trzech podstawowych kierunkach i dotyczyć trzech celów:

— tworzenia ruchu kształcenia innowacyjnego na możliwie najszerzych podstawach (tej właśnie kwestii poświęcony jest, wspomniany już, Raport Klubu Rzymskiego, opublikowany w Polsce w 1982 roku pt. „Uczyć się bez granic. Jak zewrzeć lukę ludzką”);

— opracowania alternatywnych projektów przyszłości przez pobudzanie twórczości młodych;

— pobudzanie odnowy podstawowych sposobów współczesnego myślenia.

Aurelio Peccei jest więc bardzo daleki od modelu współczesnego człowieka, w kierunku którego ludzkość najwyraźniej zmierza — człowieka, który pasjonuje się maszynami i komputerami, żyje w klimatyzowanych wieżowcach, podróżuje coraz to szybszym, samochodem i samolotem, kupuje coraz nowocześniejszy telewizor i magnetowid...

Tego typu człowiek interesuje się przede wszystkim rzeczami, które sam wytwarza — a nie światem naturalnym, którego sam jest tworem. Natura zajmuje u niego miejsce drugorzędne, drugi człowiek się nie liczy...

Niezbędna jest więc „rewolucja ludzka”, zupełnie inny sposób myślenia: myślenie humanistyczne. Jedynie nowy humanizm może dokonać tego niby-cudu, urzeczywistnić duchowe odrodzenie człowieka — przekonuje Peccei. Ten nowy humanizm będzie musiał odnowić i odwrócić zasady i normy, jakie do chwili obecnej uznawaliśmy za nienaruszalne, będzie musiał przygotować narodziny nowych systemów wartości i motywacji duchowych, etycznych, filozoficznych, społecznych, które przywrócić nam wewnętrzną równowagę. Ten nowy humanizm będzie musiał także być w „dostatecznym stopniu oświecony”, aby umożliwić nam kontrolę nad rewolucją materialną. I będzie musiał dopomóc naszemu gatunkowi „w uzasadnieniu jego obecności na ziemi jako czynnika innowacyjnego, łagodzącego i chroniącego przebieg życia”, a nie jako absolutnego arbitra sprawującego władzę nad życiem i śmiercią wszystkich innych gatunków.

Autor książki „Przyszłość jest w naszych rękach” nie ma przy tym złudzeń i wątpliwości, że tego typu „rewolucja ludzka” będzie przedsięwzięciem długim, bolesnym, udręczającym i kontrowersyjnym. Trzeba jednak podjąć to „przedsięwzięcie”. Jeśli mamy rzeczywiście wybierać między być i nie być, między przeżyć a zginąć...

I GENIUSZE MUSZĄ PRACOWAĆ

Już po raz dziesiąty Poznań stał się w lutym stolicą polskiego filmu dla najmłodszych. Nieprzypadkowo Ogólnopolski Festiwal Filmów dla Dzieci i Młodzieży odbywa się właśnie w okresie ferii. Tylko bowiem w czasie przerwy w nauce jest możliwy udział w tym swoistym maratonie głównych adresatów prezentowanych nam obrazów filmowych.

Projekcje odbywały się niemal od rana do wieczora ku ucieście małych kino- i telemanów. Dość powiedzieć, że na pokazach konkursowych mogli obejrzeć 57 filmów. Wśród nich: pełnometrażowe fabularne, seriale, widowiska telewizyjne, filmy krótkometrażowe — dokumentalne i przede wszystkim — animowane. Obok projekcji konkursowych organizatorzy (do głównych należał Ogólnopolski Ośrodek Sztuki dla Dzieci i Młodzieży w Poznaniu oraz poznańskie Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów) przygotowali wiele interesujących imprez i pokazów towarzyszących. Na przykład w poznańskim kinie „Rialto” prezentowano filmy nagrodzone podczas dziewięciu poprzednich festiwali, reżyserowane przez znanych twórców dla najmłodszych: Janusza Nasfetera, Annę Sokołowską, Wojciecha Fiwka, Kazimierza Tarnasa, Krzysztofa Gradowskiego.

Niewątpliwą atrakcją stał się również przegląd twórczości dwóch wybitnych reżyserów zagranicznych: radzieckiego — Rołana Bykowa i nie żyjącego już twórcy czechosłowackiego — Jiřego Trnki. W przerwie między seansami młodzi widzowie mogli oglądać w Sali Marmurowej Pałacu wystawę przygotowaną przez Muzeum Kinematografii, prezentującą projekty i fragmenty scenografii ze znanych filmów (nie tylko dla dzieci i młodzieży).

Tym razem festiwalowa publiczność zasiała nie tylko w Wielkiej Sali Pałacu Kultury i Teatru „Marcinek”. Przygotowano bowiem repliki pokazów festiwalowych w kilku kinach Poznania, zwłaszcza w dużych, oddalonych od centrum miasta osiedlach, a także we Wrześni, Kaliszu i Łodzi. Takie pokazy na pewno z radością przyjęłyby dzieci i z innych ośrodków w kraju. Miejmy nadzieję, że w przyszłości organizatorom festiwalu uda się to marzenie młodej widowni spełnić...

★

Jak przedstawia się produkcja filmowa dla młodych widzów w ciągu dwóch ostatnich lat? W jakim stopniu zadowala ona adresatów, a w jakim krytyków, pedagogów, znawców psychiki dziecka i teoretyków sztuki filmowej? Bo, że każdy z nich poszukuje w kinie dziecięcym czegoś innego, wiadomo nie od dziś. Widać to wyraźnie choćby w festiwalowych dyskusjach czy werdyktach jury, które na poznańskim festiwalu jest podwójne: „dorosłe” i „dziecięce”. Temu pierwszemu przewodniczył w tym roku reżyser „Akademii Pana Kleksa” — Krzysztof Gradowski. Jury dziecięce obradowało pod przewodnictwem kilkunastolatka — Krzysztofa Mikuły. I — rzecz jasna — jak zwykle, ich werdykty były różne.

Wśród obrazów kinowych znanych już dziecięcej publiczności, znalazł się, uhonorowany już wieloma międzynarodowymi nagrodami, pełnometrażowy film fabularny Waldemara Dzikięgo — „Cudowne dziecko”. Mogliśmy też obejrzeć debiut reżyserski operatora filmowego Jerzego Łukaszczyka — „Przyjaciela wesołego diabła”, harcerską opowieść Waldemara Podgórskiego — „Czarne Stopy”, oczekującego jeszcze na swą kinową premierę „Dzikuna” — w reżyserii Andrzeja Barszczyńskiego i „ESD” Anny Sokołowskiej — ekranizację powieści Małgorzaty Musierowicz.

Tyle tytułów zaprezentowały zespoły filmowe „Tor”, „Profil”, „Kadr” i Studio Małych Form Filmowych „SE-MA-FOR”. Razem pięć propozycji. Jak na festiwal, który odbywa się co dwa lata, to za mało. I stanowiło za mało, jak na oczekiwania i potrzeby młodych odbiorców. No cóż, wciąż jesteśmy tu w tyle za innymi, choćby za kinematografiami bratnich krajów, gdzie twórczością dla dzieci zajmują się specjalnie powołane zespoły filmowe, że wspomnę tylko o Studiu im. Gorkiego w Moskwie. Tymczasem u nas twórcy dużo mówią o swej sympatii dla dzieci, wytwórnice filmowe deklarują chęć produkcji dla najmłodszych widzów, a filmy jakie dla nich powstają w ciągu roku, wciąż można policzyć na palcach jednej ręki.

Niepokój budzi również atmosfera, wytwarzana wokół reżyserów, którym „się udało” i w gatunku — niełatwej przecież — twórczości dla dzieci, odnieśli sukces nie tylko artystyczny, ale i frekwencyjny. Warto przypomnieć tu chociażby autora niemile „zagłaskanej” przez recenzentów

„Akademii Pana Kleksa”, którego następnym film — „Przygody Pana Kleksa” — spotkał się z niezaskuszeniem chłodnym przyjęciem naszej krytyki. Ale wróćmy do obrazów kinowych, prezentowanych na tegorocznym festiwalu. I — co nie mniej ważne — do dyskusji, jakie wywołały. „Cudownemu dziecku” — moim zdaniem najciekawszemu, obok „Przyjaciela wesołego diabła”, filmowi pełnometrażowemu — uczestnicy festiwalu zbierający się po dniu pełnym wrażeń, w klubie studenckim „Od Nowa”, nie mogli „wybaczyć” ... strojenia się w cudze piórka, braku kolorystyki lokalnego (film kręcono w Polsce na zamówienie kanadyjskiego producenta), a głównie tego, że wokół — zamiast dużych i małych „Fiatów” — krąży „Toyoty” i „Opeli”, że bohaterowie filmu nie gnieźdzą się w mieszkankach w mrówkowcu z wielkiej płyty, ale mieszkają w komfortowych willach z ogródkiem, a lekcje fizyki — zamiast sfrustrowanej nauczycielki — prowadzi wielce liberalny i tolerancyjny, a przy tym dowcipny pan profesor — ewenement w naszych sfeminizowanych „podstawówkach”.

Nie podzielał tych opinii. Miejsce akcji nie jest tu zresztą określone — to może dziać się wszędzie. Fabuła, jak z sensacyjnego filmu, akcja żywa i wartka. Najkrócej można ją określić tak: niezwykle zdolności psychokinetyczne pewnego chłopca przysparzają wielu kłopotów zarówno jemu, jak i jego rodzinie. Podczas swoich niezwykłych przygód poznaje rówieśnika, Aleksandra, okazującego się genialnym muzykiem, którego jednak żaden z dyrektorów filharmonii nie chce wysłuchać i wpuścić do sal koncertowych.

Sytuacje przedstawione w filmie tchną prawdziwym dramatyzmem. Żywa akcja, sztuczki z psychokinetyczną energią, jaką dysponuje bohater, to tylko kamufaż i — co tu dużo mówić — magnes dla młodego widza, zainteresowanego tym, co nie zwykle i niecodzienne. Film w zajmujący sposób mówi o sprawach wręcz bolesnych: o odrzuceniu, wyobcowaniu dziecka, które jest inne, o „upuniu” przez dorosłych, o tym, jak nieprzepiętność ska-

zowany w sposób bardzo atrakcyjny dla młodego widza. Nic dziwnego, że dziecięce jury wyróżniło go „Kryształowymi Koziołkami” za najlepszy film pełnometrażowy, rozpowszechniany w kinach.

Do tej pory obraz ten obejrzało w Polsce już 1130 tysięcy osób, chociaż w kinach wyświetlany jest dopiero od dwóch miesięcy. Warto chyba zaznaczyć, że film sprzedany został do wszystkich krajów Europy Zachodniej, Australii i Japonii.

Jakże inna w swej poetyce i nastroju jest baśniowa opowieść Jerzego Łukaszczyka — „Przyjaciela wesołego diabła”, uhonorowana „Poznańskimi Koziołkami” w kategorii filmów fabularnych. Chłopiec, który chce pomóc ojcu odzyskać wzrok, musi pokonać Ducha Ciemności. W swojej wędrówce spotyka Piszczalkę, śmiesznego i pocziwego diabełka, który pomaga mu w różnych opresjach. Chłopiec po wielu przygodach i perypetiach zwycięża w końcu Ducha Ciemności i wraca do uzdrowionego ojca.

Znów opowiadka o przyjaźni, wytrwałości, wzajemnej miłości ojca i syna — miłości wymagającej wyrzeczeń i trudów. Nastrój poetyckiego liryzmu uzyskał reżyser dzięki niekonwencjonalnym, wielce wysublimowanym zdjęciom. Malownicze plenery, groza, jaką może wywoływać przyroda, dziwne stwory i tytułowy ludzik: diabeł Piszczalka, na polu — człowiek, na polu — zwierzę. I znów zainteresowanie dziecięcej widowni, dla której, być może, Piszczalka stanie się rodzimym Gremlinsem-maskotką. Tak oto prezentują się filmy, które — moim zdaniem — mogłyby śmiało konkurować o „Grand Prix” tegorocznego festiwalu. Nie przyznano go jednak, gdyż — jak poinformował na konferencji prasowej Krzysztof Gradowski — żadna z przedstawionych propozycji — a są tu brane pod uwagę wszystkie gatunki — nie spełniła wymagań jury. Ekwiwalent pieniężny, towarzyszący temu wyróżnieniu (150 tys. złotych), postanowiono rozdzielić i przyznano po raz pierwszy w historii festiwalu trzy równorzędne nagrody — w poszczególnych kategoriach wiekowych: za film dla dzieci najmłod-

dorastających dziewcząt i chłopców. Cel to ze wszech miar godny pochwały, zwłaszcza teraz, gdy — jak to widać chociażby na naszych podwórkach — model karateki i supermena z sensacyjnych filmów — zdaje się, zupełnie zdominował dziecięcą wyobraźnię i sprowokował do mniej lub bardziej udolnego naśladownictwa.

Jaki więc „kontrmodel” zaproponowali realizatorzy wymienionego filmu? Bohaterami są chłopcy z zastępu „Czarne Stopy”, spędzający wakacje na obozie harcerskim w Górach Świętokrzyskich. Pobyt na obozie jest dla nich małą szkołą życia, w której uczą się odpowiedzialności, samodyscypliny, samodzielności. Jednocześnie poznają historię walk partyzanckich, jakie toczyły się na ziemi kieleckiej. Wpajanie szacunku dla przeszłości to zadanie trudne nie tylko dla twórców współczesnego filmu dla młodzieży. Tak, jak i kreowanie nie tzw. bohatera pozytywnego. Nie sądzę, aby film powstał w oparciu o — napisaną wiele lat temu — powieść Szmaglewskiej mógł sprostać wymaganiom dnia dzisiejszego. Inna jest obecnie młodzież, inne harcerstwo. Dlatego też wiele sytuacji pokazanych w tej ekranizacji, po prostu traci już myślną. Szkoda. A przecież na temat harcerstwa drugiej połowy lat osiemdziesiątych mógłby powstać nie jeden znakomity scenariusz...

Pytanie, w jakim kierunku ma pójść dalej film dla najmłodszych, zadawano sobie podczas tego jubileuszowego festiwalu wielokrotnie. Czy podczas projekcji ten specyficzny widz ma „umierać ze śmiechu”, czy wstrzymywać oddech z emocji, czy też uczyć się, kontemplować, wspinać na wyższe piętra intelektualnej refleksji?

Klub „Od Nowa”, w którym każdego wieczoru po dniu pełnym wrażeń zbierali się twórcy, pedagodzy, znawcy sztuki dla najmłodszych, goście zagraniczni — a przybyli oni w tym roku aż z 9 państw: CSRS, Belgii, Bułgarii, Kuby, NRD, Rumunii, Węgier, Wielkiej Brytanii i ZSRR — dziennikarze, przedstawiciele Ogólnopolskiego Ośrodka Sztuki dla Dziecka — rozbrzmiewał różnorodnością zdań, poglą-



Werdykt jury dziecięcego, jak zwykle różnił się od opinii dorosłych jurorów...

Fot. Majka Serafin

zuje dziecko na samotność i niezrozumienie. Utwór nie jest przy tym peanem na cześć geniuszu — przyrodzonego daru natury. — I geniusze muszą pracować — mówi Aleksander do przyjaciela, zwierając mu się, że aby utrzymać się w formie, grę na skrzypcach ćwiczy 6 godzin dziennie. Idąc za radą Aleksandra również nasz bohater trenuje wolę i dzięki temu może spożytkować swą niezwykłą energię na ocalenie miasta przed wybuchem jądrowym. Później pomaga Aleksandrowi, który w końcu staje w wytwornej sali koncertowej i opanowując trzęsę, daje popis swej wirtuozerii. A więc triumf przyjaźni, pracy, uporu. Film jednocześnie gorzki, ale i optymistyczny, a co nie mniej ważne — zreali-

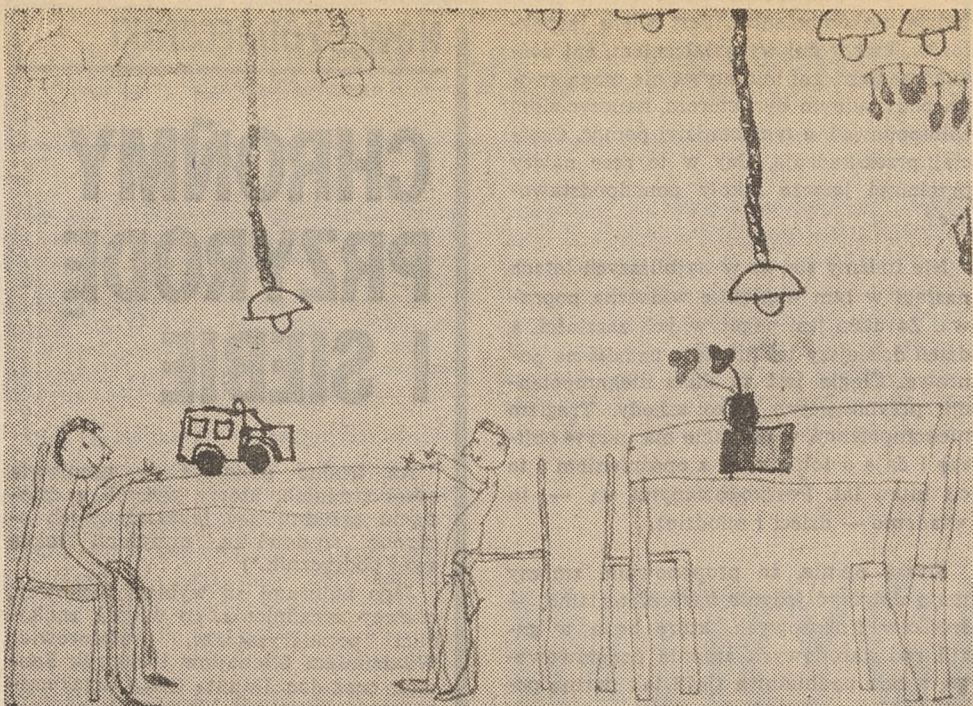
zowanych — laureatem został telewizyjny „Prosiaczek Bobo” z serii „Klementynka i Klemens, gęsi z Doliny Młynów” Janusza Łęskiego, dla dzieci starszych („Cudowne dziecko” Waldemara Dzikięgo), dla młodzieży („ESD” Anny Sokołowskiej).

Poza omówionymi już utworami kinowymi — a na nich głównie pragnęłam skupić się w tym tekście, o innych gatunkach prezentowanych na festiwalu napiszę oddzielnie — na uwagę z nieco innej przyczyny, zasługują także „Czarne Stopy” Waldemara Podgórskiego, zekranizowana powieść Seweryny Szmaglewskiej. Film ten świadczy bowiem, że twórcy usilnie poszukują scenariuszy, które dostarczyłyby odpowiednich wzorców osobowych pokoleniu

dów, opinii. Jedni bronili utworów „do oglądania”, które żywo interesowałyby młodą widownię, sprawiali, że pod kinami ustawiałyby się długie kolejki. Inni opowiadali się za repertuarem ambitnym, przekazującym głębsze treści, skłaniającym do zadumy, dyskusji z rówieśnikami i samym sobą.

Ambicje czy komercja? — ten problem zdał się zdominować dyskusję o stanie polskiego filmu dla dzieci i młodzieży. Najlepiej gdyby mógł być i ambitny, i interesujący a co za tym idzie — również kasowy. Okazuje się jednak, że właśnie takie dzieło zrealizować najtrudniej...

BOŻENA SZCZYPiŃSKA



Dyr. Hanna Miętkowska: — Sprzęt oświetleniowy zdobyłam aż w Wilkasach...

DZIECI SPECJALNEJ TROSKI

PIONIERZY Z SIENNICKIEJ

— Luksów nie żałujemy — powiedziała Hanna Miętkowska, dyrektorka Przedszkola nr 291 w Warszawie przy ulicy Siennickiej 19b, oprowadzając mnie po swoim królestwie jasności i czystości. Wyrastający z sufitu i bocznych ścian gęsty las żarówek w najprzeróżniejszych oprawach każe nam się domyślać co to za placówka: przedszkole specjalne dla dzieci z zezem i niedowidzeniem jednoocznym.

Jest ich czterdzieścioro czworo. Są pełnosprawne, ciekawe otoczenia. Ale świat ich po kilku metrach przeobraża się w bezkształtną i bezbarwną mgłę. A i ten najbliższy — z powodu zaburzeń ostrości wzroku — bywa zdeformowany.

Następstwa defektu są różnorakie, mocno odciskają się na rozwoju psychicznym i fizycznym. A więc — jak charakteryzuje swoją gromadkę Hanna Miętkowska — dzieci z zezem i niedowidzeniem jednocznie cierpią przede wszystkim na zaburzenia spostrzegania i poznawania. Brakuje im koordynacji wzrokowo-ruchowej i w rezultacie sprawności manualnej. Mają trudności w skupieniu uwagi. Również zaburzeniom ulega sfera emocjonalno-społeczna. Są nerwowe, nadpobudliwe psychoruchowo, bądź zamknięte w sobie. Przejawiają też tendencję do nadmiernego pochylania się, co często kończy się potykaniem i przewracaniem. Rzecz jasna, wszystkie noszą obowiązkowo okulary.

Co z tymi maluchami robi się w Przedszkolu nr 291? Zaczniemy od tego, że jeszcze do niedawna nie było wiadomo dokładnie, na czym powinna polegać praca w takiej placówce. Brzmi to paradoksalnie zważywszy fakt, że pedagogika dzieci niewidomych obrosła u nas już w ponad stuletnią tradycję. Toteż byłem nieco zaskoczony dowiadując się, że formy i metody pracy pedagogicznej z dziećmi z zezem i niedowidzeniem jednoocznym zaczęto wypracowywać dopiero w ostatnich latach. Placówka przy ulicy Siennickiej powstała w 1973 roku z inicjatywy Wydziału Zdrowia i Opieki Socjalnej Urzędu Dzielnicy Pragi Południe jako pionierska w kraju. Wydział Oświaty i Wychowania nie bardzo wiedział, co z tym fantem zrobić poza mianowaniem na stanowisko dyrektora i powierzeniem zorganizowania przedszkola Hannie Miętkowskiej, która — tak zrzadziła opatrność — oddała swemu „dziecku” całą energię, a przede wszystkim serce.

Czasy pionierskie trwają właściwie do dziś. W ciągu tych piętnastu lat literatury fachowej przybyło tyle, co kot napłakał, natomiast własnych doświadczeń i praktyki, owszem, sporo. Co do jednego nie ma wątpliwości: przedszkole musi realizować powszechnie obowiązujący program dydaktyczno-wychowawczy przysposabiający dziecko do zwykłej szkoły. Ale drugi cel — medyczny — jest nie mniej ważny. Opuszczający placówkę siedmiolatek powinien patrzeć na świat obocznie i bez zezu.

Leczeniem zajmują się na miejscu lekarka okulista, Maria Stankiewicz (dżyruje jeden dzień w tygodniu) oraz pielęgniarki ortoptystki, Barbara Pile i Małgo-

rzata Rogala, które ćwiczenia rewalidacyjne z dziećmi przeprowadzają w przedszkolnym gabinecie okulistycznym codziennie.

Jednak medycy nie mogą rzepki skrobać sobie, a pedagodzy sobie. Sztuka polega na tym, aby nauczycielki wspomagały proces rewalidacji dzieci metodami pedagogicznymi. Ćwiczenia mięśni gałek ocznych czy zbieżności oczu wykonuje się w gabinecie okulistycznym za pomocą specjalnej aparatury (tzw. trener mięśni, trener konwergencji), ale są one dla kilkulatek z pewnością męczące i monoton-

ne. Dlatego nauczycielki Przedszkola nr 291 swoją misję postanowiły zamknąć w hasle: nasze dzieci uczymy i rewalidujemy bawiąc.

Jak zatem wygląda przywracanie wzroku na Siennickiej? — Zaczynamy od diagnozy — mówi Krystyna Słowik, nauczycielka, która w warszawskim przedszkolu „zasiedziała” się już trzynaste lat. — Na początku roku odbywają się konsultacje lekarsko-pedagogiczne. Okulista i ortoptystki zapoznają nas z aktualnym stanem oczu naszych wychowanków, a lekarz pediatra z ogólnym stanem zdrowia. Już sam fakt, że każda diagnoza jest inna, określa formy i metody pracy. Stąd powszechnie obowiązująca indywidualizacja. Przejawia się ona na każdym kroku, także na zajęciach wspólnych. Na przykład musimy pamiętać, że dziecko z większym niedowidzeniem powinno siedzieć bliżej, a z mniejszym trochę dalej. Że to pierwsze, aby obejrzeć jakiś przedmiot, musi wziąć go do ręki, natomiast drugiemu wystarczy zademonstrować stawiając na stoliku w pewnej odległości.

Indywidualizacja ta przejawia się głównie w tym, że spośród dzieci, u których dostrzega się różne niedostatki, tworzy się grupy dyspenseryjne. Krystyna Słowik właśnie prowadzi zajęcia reedukacyjne dla wychowanków z zaburzeniami koordynacji wzrokowo-ruchowej oraz analizy i syntezy słuchowej. W tym pierwszym przypadku chodzi o ćwiczenie sprawności układu „ręka — oko”. Dzieci w grupkach 2—3 osobowych, a nierzadko i w pojedynkę usprawniają koordynację wzrokowo-ruchową poprzez obrysowywanie konturów, kalkowanie, pogrubianie linii, wypeł-

nianie obrazka kolorem, wyklejankę czy — w przypadku zwierzątek — włożenie imitująca futerko, także poprzez dopasowywanie do siebie elementów geometrycznych, zabawę w układanki itd. Takich grup kompensacyjnych — od logopedii do gimnastyki korekcyjnej — jest tu bardzo wiele. Codziennie więc trwa mrówcza praca, która — jak się okazuje — daje znakomite efekty. W ciągu pierwszych pięciu lat na 185 absolwentów przedszkola, którzy przeszli pełne cykle rewalidacji aż 154 dzieci osiągnęło zdolność obocznego widzenia oraz uzyskało równoległe ustawienie oczu, czyli pozbyło się zezu. Tylko u 31 dzieci nie nastąpiła poprawa ze względu na rozwój niekorzystnych zmian organicznych w gałce oczu.

— Wyniki te mogłyby być lepsze i nauczycielki nie musiałyby się tak trudzić — wyjaśnia dyrektorka Hanna Miętkowska — gdyby świadomość społeczna co do wagi wczesnej rewalidacji dzieci z zezem i widzeniem jednoocznym była większa. Na przykład nie wszyscy wiedzą, że proces rozwoju gałki ocznej osiąga swoje apogeum między 7 a 9 rokiem życia. Tak więc przedszkole specjalne daje praktycznie jedyną szansę wyleczenia. A jak było ze świadomością rodziców na początku? Zakwalifikowano 120 dzieci, a zgłosiło się 30. A trzeba wiedzieć, że dzieci nie leczone i nie rewalidowane stają się inwalidami II grupy, nie mówiąc już o tym, że zakres zawodów, które mogłyby wykonywać, jest bardzo wąski.

Placówka przy Siennickiej podniosła więc współpracę z rodzicami do rangi najwyższej. To rozumiałe, bo w przeciwnym razie cały trud lekarsko-pedagogiczny z powodu ignorancji dorosłych poszedłby na marne. Pierwsza sprawa, do której rodzice są bezwzględnie zobowiązani, to baczenie, aby dziecko nosiło okulary nieustannie, nawet w kąpiel. Zdejmuje je tylko na sen. A bywały przypadki, że mama po odebraniu dziecka chowała okulary w torebce. Mówiąc najogólniej, rodzice zobowiązani są do świadomego uczestniczenia w procesie rewalidacyjno-wychowawczym własnego dziecka. Przedszkole organizuje dla nich prelekcje, odczyty, spotkania z okulistami i pediatrami, poleca odpowiednią literaturę, organizuje zajęcia otwarte, uświadamia, jak powinno wyglądać oświetlenie w domu, jakimi zabawkami powinno bawić się dziecko.

Zdaje się, że rodzice już uświadomili sobie, jaką to bezcenną działalność prowadzi przedszkole, bo swoją wdzięczność okazują na każdym kroku. Teraz to już powszechny obrazek: przychodzi rodzic i przedstawia się: jestem elektryk, w czym pomóc. No i właśnie jeden taki pomógł. Ekipa „fachowców” nie umiała zainstalować lamp do oświetlania tablic, a on sam zrobił odpowiedni stelaż i zainstalował, oczywiście, grosza nie żądając.

— Doskonalimy rodziców, przede wszystkim jednak doskonalimy siebie — mówi Hanna Miętkowska. Na osiem nauczycielek cztery mają wykształcenie magisterskie, jedna studiuje na II roku wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej. Pozostałe trzy są absolwentkami SN. Wszystkie doskonalą się nieustannie na najrozmaitszych kursach i konferencjach, bądź też studiując literaturę i czasopiśmiennictwo fachowe.

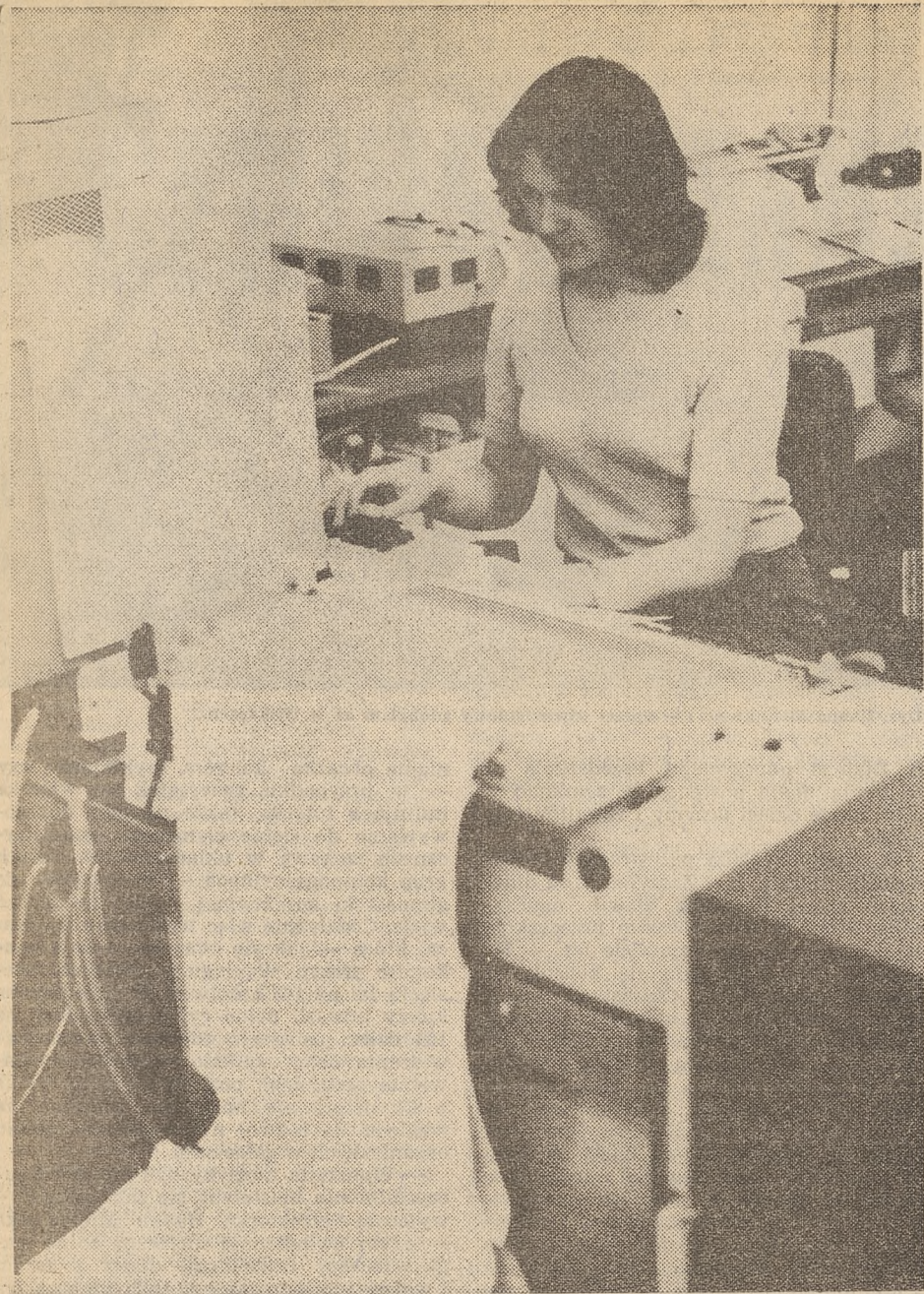
Na Siennickiej szybko zauważyłem, że jednak „specjalniacy” to zupełnie inny gatunek pedagogów. Reprezentują jeszcze te wartości, które z tak zwanego szkolnictwa masowego dawno już uleciały. Trzymają się razem, nie uciekają do szkół czy w ogóle z zawodu. Jeśli już fluktuacja kadr, to tylko naturalna. Rąbka tajemnicy zawodowej uchylała Elżbieta Dobruszek, nauczycielka już emerytowana, ale w pracy bardzo zaangażowana: — Człowiek szybko tu ulega pasji poszukiwań, a jak już ulegnie, to czuje się dobrze.

WITOLD SALAŃSKI

Zdjęcia: M. Suchecki



Móc pomóc i widzieć tego efekty, to największa satysfakcja dla pedagoga — mówi Krystyna Słowik.



Fot. M. Suchecki

ZARZĄDZANIE OŚWIATĄ

EDMUND DĄBROWSKI

TWARDY ORZECH

Dobrze, iż zamierza się rozszerzać uprawnienia rad narodowych stopnia podstawowego i samorządów mieszkańców miast i wsi. Doświadczenie bowiem potwierdza, że wzrost zaufania do ludzi wynika w nich zaangażowanie, inicjatywę, poczucie odpowiedzialności, gospodarność, wolę doskonalenia rzeczywistości itp. Ale doświadczenie również uczy, że nadmiar uprawnień odwraca się przeciwko nim samym prowadzić do wypaczeń i staje się argumentem przeciwko demokratyzacji.

W opublikowanych założeniach zmian w ustawie z 20 lipca 1983 r. o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego wymieniana są starania, które mają doprowadzić do umocnienia rad narodowych stopnia podstawowego (gmin i miast). Spośród innych przewiduje się: „ustawowe przekazanie zadań związanych z utrzymaniem podstawowej bazy służby zdrowia, kultury oraz szkolnictwa ponadpodstawowego z gestii WRN do rad narodowych stopnia podstawowego przy jednoczesnym zapewnieniu odpowiednich środków na ten cel”.

Nie będę się wypowiadał na temat służby zdrowia ani kultury, choć uważam, że

ludzie niekompetentni. Jest wielu inspektorów, którzy ani wykształceniem, ani doświadczeniem, ani inicjatywą nie mogą swoim podwładnym dyrektorom, nauczycielom zaimponować, a tym bardziej pomóc. Częściej przeszkadzają. Czy w te ręce należy przekazać jeszcze szkoły ponadpodstawowe?

Nie ludźmy się, że w najbliższych latach nastąpi w tym względzie widoczna poprawa. Za dużo jest negatywnych zaszciości, a dzień dzisiejszy też nie daje nadziei na poprawę. Ciągłe jest za dużo niekompetencji, przynoszących tylko szkody. Tragizm niekompetencji w oświacie ma ukryte oblicze i daje o sobie znać z opóźnieniem i to od kilku lat. Poszkodowanymi są — to wiadomo — dzieci i młodzież.

Słyszę opinie, że proponowane zmiany mają dotyczyć jedynie bazy materialnej — środków finansowych, które będą w gestii rad narodowych stopnia podstawowego, a cała nadbudowa (jeśli tak można powiedzieć), a więc doskonalenie nauczycieli, nadzór pedagogiczny, wpływ na metody pracy szkół, ocena pedagogiczna szkół i nauczycieli będzie należeć do szczebla wyższego. Jeśli tak myśłano, to jest to myślenie fideistyczne, z serii pobożnych życzeń. Jeszcze jeden absurd w naszym życiu. Rozdzielenie organicznego związku bazy z nadbudową wyrastającą z tej bazy jest działaniem wbrew prawom ekonomiczno-społecznym i wprost odwrotnie, niż w reformie gospodarczej wdrażanej w naszym kraju. Skutki tego są bardzo łatwe do przewidzenia.

W oświacie, tak jak w całej gospodarce tak musi być, że ten kto płaci, powinien nadzorować, kontrolować, oceniać, ustawiać kadry, wymagać, działać mechanizmami motywacyjnymi. Wtedy można oczekiwać rezultatów. Ale czy można to wszystko wykonywać na szczeblu rad stopnia podstawowego? To nie jest możliwe i jeszcze przez wiele lat możliwe nie będzie.

Doświadczenie całych czterdziestu lat uczy nas, że każda rada stopnia podstawowego zawsze odczuwała duże, często bardzo duże braki środków finansowych na najważniejsze potrzeby swojego terenu. Nic się nie zmieniło i obecnie. Czy to nie spowoduje, że poza wynagrodzeniami dla nauczycieli, będzie brak środków choćby na wyposażenie szkół? Musimy uwzględnić fakt, że czym niżej, czym mniejsze środowisko społeczne, tym na związki interpersonalne, na obiegowe i służbowe oceny mają większy wpływ subiektywne nastawienia, ambicje i ambicjki, uprzedzenia, sympatie i antypatie, a stąd popieranie lub odrzucanie czegoś, kogoś i to nie ze względu na faktyczne znaczenie czy zasługi.

Do tego każda szkoła ponadpodstawowa pracuje dla potrzeb więcej niż swojego, administracyjnie określonego środowiska. I z tego względu będzie się wymykała miejscowym władzom. A to może działać przeciwko niej.

W szkolnictwie zawodowym, poza resortem edukacji narodowej, który będzie miał odpowiednie organy w administracji terenowej, za specjalistyczne kształcenie zawodowe ponoszą odpowiedzialność odpowiednie resorty. Chyba nikt z projektodawców zmian nie wie, w jaki sposób te resorty będą spełniać swoje obowiązki przy konieczności współpracy z gminami, miastami-gminami i miastami.

To są tylko wybrane argumenty przeciw zabieraniu z gestii wojewódzkich rad narodowych szkół ponadpodstawowych.

Szkoła w Polsce przechodziła wiele reform. Różne były ich skutki, ale wraz z nimi ciągle narastała krytyka szkół. Obecnie krytyka dotyczy nie rozwiązań organizacyjnych, ale treści pracy szkół, programów nauczania, podręczników, metod pracy nauczycieli, stosunków interpersonalnych w szkołach itp. Należy więc poprawić to, co jest krytykowane, a nie to, co znalazło uznanie.

Było już tak, że szkoły ponadpodstawowe podlegały radom i administracji stopnia podstawowego. Zasada ta przyniosła złe skutki, więc już po roku wycofano się z niej i szkoły wróciły do wojewódzkich rad narodowych. I tu jest ich miejsce w przyszłości.

Zygmunt Dąbrowski jest dyrektorem Zespołu Szkół Budowlanych w Lublinie, w oświacie pracuje od 1949 r.

NOWE PODRĘCZNIKI

CHROŃMY PRZYRODĘ I SIEBIE

Aż trudno uwierzyć — uczniowie szkół średnich, którzy wybrali z dziesięciu przedmiotów fakultatywnych ochronę środowiska, otrzymali także swój podręcznik.*)

Jego autorami są wybitni fachowcy, znawcy zagadnienia, co więcej, znakomici popularyzatorzy, profesorowie: Włodzimierz Michałow i Henryk Sandner oraz doc. Danuta Cichy, znakomite metody biologii. Nie ulega więc wątpliwości, że owo kompendium znacznie ułatwi pracę zarówno młodzieży, jak i nauczycielom. A trzeba zauważyć, że „Ochrona Środowiska” jest jednym z bardziej popularnych fakultetów.

Przyznam, że z ogromnym zainteresowaniem zabrałem się do lektury tej książki. Na jakie treści zwrócili uwagę autorzy? W jaki sposób je zaprezentowali? To były dwa podstawowe pytania, na które szukałem odpowiedzi, tym bardziej, że czytelnik ma do swej dyspozycji wiele interesujących prac na ten temat.

Książka wyszła z tej konfrontacji — moim zdaniem — korzystnie. Autorzy zadbali o atrakcyjny dobór tematyki, którą w obecnej sytuacji ekologicznej kraju należałoby bezwzględnie przedstawić. W centrum zainteresowania znajduje się człowiek i jego miejsce w przyrodzie. Jest to miejsce najwyższe. Z tego też względu przysługują mu określone prawa i obowiązki względem samego siebie i przyrody. Jeśli człowiek nie będzie dbał o przyrodę, o swe miejsce na ziemi, to zginie owo miejsce i także CZŁOWIEK. Słusznie więc autorzy poświęcili sporo miejsca sposobom kształtowania środowiska. Znakomitą ilustracją tego zagadnienia jest zanieczyszczenie powietrza. Zamiast sążnistych opisów mamy tabelę znakomicie ilustrującą problem, czyli kto kogo zatruwa i z jakim skutkiem.

Sądzę jednak, że nie tylko takie przesłanie towarzyszyło autorom przy pisaniu tej pracy. Starają się uświadomić młodemu czytelnikowi straszliwy paradoks ludzkiego istnienia tkwiący w tworzeniu przez człowieka nowych dóbr, uznanych przez niego samego za cenne i wartościowe. Tworząc rzeczy nowe, niszczy zarazem, pozostawiając za sobą często ruiny i zgłiszczą. Idzie o to, aby człowiek do dzieła niszczenia maksymalnie zminimalizował, na miarę swego talentu, wiedzy i umiejętności. A czynić to powinien każdy, w każdym momencie swego życia.

Myślę, że młodemu czytelnikowi przypadną do gustu niektóre propozycje działań, w których sami powinni wziąć udział. Typowe przykłady to mała retencja, sensowne stosowanie nawozów, a przede wszystkim zachowanie czystości własnego ciała, własnego miejsca zamieszkania, celowe wykorzystanie każdego kawałka ziemi. W tym właśnie przesłaniu upatruję główną wartość książki. Rzecz w tym, by nie uczyć się wciąż tego samego, a więc, że potrzebne nam są nowe technologie, a my w obecnej sytuacji na to nie możemy sobie pozwolić; że powinniśmy chronić ziemię, powietrze, wodę, itd. Tę lekcję przerabialiśmy wielokrotnie, a skutki widać wokół nas. Żyjemy w brudzie, a czerwotka wciąż zbiera swoje żniwo, mimo olbrzymiej produkcji środków czystości.

Ow podręcznik zasługuje na uwagę nie tylko z tych powodów. Nie jest „przegadany”, ani zbytnio moralizatorski. Mnóstwo tu zdjęć, wykresów, danych zaczerpniętych z różnych źródeł, najczęściej dla młodzieży z małych ośrodków niedostępnych. Umożliwiają one młodemu człowiekowi samodzielną analizę zjawisk. Wytnienie przy lekturze zjawisk powodujących rysunki satelitarne Stefana Jackowskiego. Pracę kończy słownik terminów oraz bibliografia.

Jednakże, jak mówi przysłowie, często w becze młodu trafi się żyłka dziedzicu, która smakowity kasek zepsuje. Tu też mamy taki przykład. Otóż w pracy zamieszczono dwa podrzędne noszące tytuły: „Stosunki międzyludzkie w miejscu pracy” oraz „Wybór zawodu — uwarunkowania podejmujących decyzję”. Jeśli kwestię stosunków międzyludzkich dałoby się w jakimś stopniu uzasadnić, to tę ostatnią trudno. Ale może się myle. Gdyby nie, w następnym wydaniu trzeba zeń zrezygnować.

JÓZEF KILIANEK
Ostrowiec

* Danuta Cichy, Włodzimierz Michałow, Henryk Sandner: „Ochrona i kształtowanie środowiska”, WSiP 1987, s. 232, nakł. 70 tys. egz., cena 287 zł.

30 GODZIN W KLUKOWIE

Na mój widok wstał zza biurka, wskazał to samo, co wczoraj, krzesło. — Rozdmuchując sprawę przydziału mieszkań — powiedział z naciskiem — ktoś chciał zrujnować porządek, załatwić porachunki sprzed lat. W ciągu trzydziestu godzin pobytu w Klukowie nazwisko, które naczelnik gminy zastąpił zrecznie zaimekiem osobowym, obilo mi się o uszy nie raz.

Trzy budynki — newralgiczne punkty Klukowa — skupione są w środku wsi i usytuowane tak, że ich okna mogą na siebie spoglądać. Zgrabny domek z przytuloną doń werandą — siedziba władz gminnych, tu ważą się losy, zapadają decyzje. Szary blok podzielony na pudełka mieszkań dla nauczycieli — tutaj twarze i wypowiedzane słowa zrzucają gorset konwenansów. I szkoła — punkt przecięcia się nici wzajemnych przyjaźni i antypatii, miejsce konfrontacji.

Grażyna Malinowska przyjechała do redakcji zdesperowana. Późną jesienią drogi na wsi pokrywają się grubą warstwą błota, a autobusy do wiosny kursują, jakby nie obowiązywał ich rozkład jazdy. Dwie godziny zajmuje jej podróż z rodzinnej miejscowości do pracy w Klukowie, dwukrotnie się przesiada, pokonuje 40 km w jedną stronę — i tak codziennie. Inspektor oświaty odmówił jej przydziału mieszkania służbowego. Tymczasem jeden z wolnych lokali w domu nauczyciela otrzymała — dzięki rodzinnym koneksjom z dyrektorką szkoły — nauczycielka z okolic Klukowa. Drugi — zajmowany dotychczas przez brata inspektora, w ogóle nie był uwzględniony do przydziału, choć brat od kilku miesięcy przebywa za granicą, a stosunek pracy został z nim rozwiązany. W gminie panuje kumoterstwo. Skarga, którą wysłała do kuratorium w Łomży, spowodowała natychmiastową reakcję inspektora: groźbę wyrzucenia z pracy i przeniesienia bez jej zgody — na podstawie art. 19 Karty Nauczyciela — do innej, równie odległej placówki. Czuje się pokrzywdzona, prosi o pomoc.

Przyjeżdżam w dniu, w którym grono pedagogiczne przygotowuje pożegnanie emerytowanej koleżanki. Smażą się paczki, czekają w wazonach goździki. Zdają zwiędnąć, a nauczycielka się nie zjawia. Usłyszę komentarze: „miała żal, że wypchnięto ją na emeryturę, ktoś ją namówił, żeby zlekceważyła zaproszenie”. Podobno wiadomo nawet, kto. Pada nazwisko tej samej osoby, która — według relacji moich rozmówców — miała podjudzić Grażynę Malinowską do interwencji w sprawie mieszkania, nazwisko „kobiety o skłonnościach tyrańskich”, będącej „zarzewiem całego konfliktu”.

ROSZADA

Pani Moczulska — mówią z resztkami dawnej atencji w głosie. Widocznie na dźwięk tych słów włącza się stary mechanizm, wykształcony przez 11 lat służbowego uzależnienia. Ale kontekst, w którym umieszczają postać byłej gminnej dyrektorki szkół świadczy o tym, że mechanizm się rozregulował. Bo o pani Moczulskiej opowiada się tutaj więcej złego, niż dobrego.

Wraz z mężem, również nauczycielem, przybyła do Klukowa w 1970 roku i objęła stanowisko kierownika szkoły. Od razu było wiadomo, że uchwyci ją żelazną ręką. Jako doskonała organizatorka umiała utrzymać dyscyplinę. Jednego tylko nie

potrafiła: wytworzyć koleżeńską atmosferę. Z upodobaniem podkreślała dzielącą ją od innych dystans, polecenia wydawała w formie nie dopuszczającej dyskusji. Początkujący w owym czasie nauczyciel wspomina dziś, że lubiła się nim wyręczać w pracy. Nie miała szacunku dla ludzi. Władza, pozbawiona dyplomacji, łatwo zyskuje sobie wrogów. Stosunki w ra-

INTRYGANTKA CZY OFIARA?

dzie pedagogicznej stały się z czasem nie do zniesienia.

W 1981 roku pani Moczulska opuszcza gabinet gminnego dyrektora i na dwa lata wycofuje się w zacisze szkolnej biblioteki. Stopniowo zmienia się konfiguracja very important persons w Klukowie. Stawiani niegdyś na baczność podwładni, w eksodusie do domku z werandą mogą się teraz dowartościować.

Jako pierwszy pokona tę drogę Stefan Cielemecki, awansowany na zastępcę gminnego dyrektora szkół. Po odejściu pani Moczulskiej, zajmie jej miejsce. (Obecnie jest inspektorem oświaty i wychowania). Podąży za nim Ryszard Kasperski — w latach 70 młody nauczyciel, dziś naczelnik gminy. Dokonają się zmiany we władzach szkolnych. W 1981 roku funkcję dyrektorki Szkoły Podstawowej w Klukowie obejmie Janina Czartoszewska, długoletnia nauczycielka, koleżanka pani Moczulskiej ze szkolnej ławy. To od jej nazwiska Mieczysław Moczulski ukuje termin: „Ekipa Czartoszewskiej”.

Nielatwo jest usunąć się w cień, jeśli było się na świeczniku, niełatwo jest wybyć się dawnych nawyków. Nie wiadomo, czy wchodząc do gabinetu Janiny Czartoszewskiej pani Moczulska nie zapukała przez zapomnienie, czy świadomie. Niby drobiazg, ale w drażliwej sytuacji zamiany ról nabiera wagi. Pamięta się go potem całe lata. Nie wiadomo, czy pani Moczulska, będąc już metodykiem języka polskiego w szkole w Klukowie, poinformowała dyrektorkę o planowanej hospitacji, czy też postawiła ją przed faktem dokonanym i z tej przyczyny nie została wpuszczona na lekcję. Wydarzenie wywołało przykrą wymianę zdań, ale relacje na ten temat są przeciwstawne. Nie wiadomo też, czy pani Moczulska spotykając dyrektorkę „śmieje się w twarz” — jak zauważają

jedni, czy zachowuje naturalną fizjonomię, jak twierdzą inni. Pewne jest tylko, że przebiegając w pobliżu obu kobiet oś konfliktu gwałtownie rezonuje i że jego zewnętrzne przejawy, dla postronnego obserwatora banalne, opinia publiczna Klukowa i osoby zaangażowane oglądają przez szkło powiększające. Pochylone nad nim, zapominają być może, że wystarczyłby krok do tyłu, aby zobaczyć siebie i innych w nowym świetle i o wiele dokładniej...

TRZY ... STRONY MEDALU

W pokoju panuje półmrok, resztki południowego słońca pochłania kłębiąca

się przy oknie ściana zieleni. Pani Moczulska lubi kwiaty, lubi też konkrety. Nie ma zamiaru posługiwać się plotką. Liczą się fakty i dokumenty, dokumenty i fakty. Mówi płynnie i starannie, jak na polonistkę przystało. Nie zapomina o pauzach i trzykropkach, które rozpoznaje po lekkim zawieszeniu ostatniej sylaby. Spod tej draperii słów i efektów intonacji dźwięczy jakaś nuta, wykluczająca możliwość polemiki, znamionująca silną osobowość, albo tylko upór.

Po pierwsze — faktem jest, że jej mąż, podobnie jak Grażyna Malinowska, w 1984 roku został przez inspektora Cielemeckiego oddelegowany do szkoły w innej wsi. Jeżeli kiedyś do pracy miał dwa kroki, to teraz tłuści się autobusem, a gdy drogi zasypał śnieg — szedł pieszo kilka kilometrów. Takiej zmiany państwo Moczulscy nie mogli potraktować jako życiowego udogodnienia. Wręcz odwrotnie — odebrali ją jako złośliwość. Wróciwszy po trzech latach do pracy w Klukowie, Mieczysław Moczulski nie otrzymał zajmowanego uprzednio stanowiska nauczyciela klasy specjalnej. Od kilku miesięcy toczy się proces przeciwko miejscowym władzom oświatowym o przydział czynności. W imieniu powoda występuje w sądzie pani Moczulska. Wyrok pierwszej instancji był dla nich niekorzystny.

Z tą sprawą łączy się fakt następny: klasę specjalną uczy obecnie siostra dyrektorki Janiny Czartoszewskiej, która — w przeciwieństwie do Mieczysława Moczulskiego — nie posiada do tego kwalifikacji. Jest to, zdaniem państwa Moczulskich, kolejny dowód rodzinnych powiązań i złośliwości dyrekcji. Chodzi bowiem o to, że za pracę z dziećmi upośledzonymi otrzymuje się 20 proc. dodatku do pensji i wysokie wynagrodzenie za nadgodziny.

I trzeci fakt: pani Moczulska pomagała Grażynie Malinowskiej w redagowaniu niektórych pism. Pomoc młodszej, niedo-

świadczonej koleżance jest rzeczą naturalną. Doszukiwanie się w tym intrygi, skierowanej przeciwko siostrzenicy dyrektorki, z którą Malinowska rywalizowała o mieszkanie, przeciwko samej dyrektorce lub decydującemu o przydziale inspektorowi — byłoby absurdem. Tak, jak posądzanie jej o planowanie zamachu stanu... przecież nie wchodzi nawet do pokoju nauczycielskiego, po dziennik posyła ucznia... Podteksty, domysły, niesprawdzone, subiektywne odczucia — są dla pani Moczulskiej nieistotne. Liczą się fakty i dokumenty, dokumenty i fakty.

Ze słów Janiny Czartoszewskiej wynika, że to co decydujące, nie zawsze mieści się w kategoriach faktu i dokumentu, że czasami dochodzi jeszcze trzeci wymiar — uczucia. Mówiąc ściślej — uczucia rodzinne... Pani Moczulska kruszy kopie o 20 proc. dodatku do pensji nie będąc w złych warunkach materialnych. Siostra dyrektorki wychowuje samotnie pięcioro dzieci. Rozpatrywanie strony formalnej przydziału obowiązków Janina Czartoszewska pozostawia sądowi pracy. Gdyby brać pod uwagę tylko fakty, to znaczy sytuację bytową, to kawalerkę powinna była otrzymać Grażyna Malinowska, a nie siostrzenica dyrektorki. Ale Janina Czartoszewska uważa, że mieszkanie ma być także formą nagrody za osiągnięcia pedagogiczne. W ciągu trzech lat pracy w Klukowie Grażyna Malinowska popełniała liczne uchybienia (w jej karcie pracy znajdującej się na ten temat notatkę z czerwca 1987 roku), dlatego komisja zaopiniowała jej podanie negatywne.

O jaki porządek obawia się naczelnik gminy Klukowo, Ryszard Kasperski, kiedy wspomina, że ktoś usiłuje go zrujnować? Wizytacja z kuratorium ustaliła, że inspektor oświaty „wykorzystywał podległość służbową w celu zastraszania” Grażyny Malinowskiej. Potwierdziła fakt zatrzymania mieszkania funkcyjnego dla brata, z którym stosunek pracy został rozwiązany za porozumieniem stron przed jego wyjazdem za granicę, co obligowało inspektora do wszczęcia postępowania o cofnięcie mu przydziału tego lokalu. Stefan Cielemecki nie dopełnił swych obowiązków. Kurator anulował jego decyzję w sprawie mieszkań dla nauczycieli i wystąpił do naczelnika, by ten udzielił inspektorowi upomnienia. Słowo „porządek” jest w tym kontekście chyba nieporozumieniem. Ale Ryszard Kasperski w dalszym ciągu wątpi w słuszność udzielonej inspektorowi kary, a całą sprawę traktuje jako wyraz nagonki na Stefana Cielemeckiego. Kontrowersyjna postać pani Moczulskiej świetnie nadaje się do wyeksponowania, gdyby ktoś w tym momencie zadał stereotypowe pytanie: „Kto za tą nagonką stoi?”. Żądza władzy, podejrzana u podwładnych, często stanowi motywację i usprawiedliwienie poczynaniom samej władzy.

★

Dwa spotkania (tzw. pojednawcze), naczelnika i inspektora z osobami ubiegającymi się o mieszkania, nie doprowadziły do konsensusu pomiędzy zgrabnym domkiem z werandą a szkołą. Kolejne i chyba już ostateczne rozwiązanie, zaproponowane przez kuratorium, rozstrzyga problem na korzyść Grażyny Malinowskiej. Decyzja inspektora o oddelegowaniu jej do sąsiedniej placówki została utrzymana w mocy.

MAGDALENA GROCHOWSKA

LEKTURY

GODNA POLECENIA

Wydawnictwo Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze może poszczycić się starannym wydaniem kilku interesujących pozycji. Jedną z nich jest obszerna praca dra R. Stankiewicza. Książka stanowi w zasadzie swego rodzaju poślizg wydawniczy, gdyż oczekiwana była już w 1985 r.

Praca R. Stankiewicza obejmuje obszerny wstęp oraz sześć podstawowych rozdziałów. Odrodzenie się ZNP i zespolenie w nim pracowników szkolnictwa przedstawiono w rozdziale pierwszym (s. 35—73). W drugim Autor zaprezentował kształtowanie się podstaw ideowo-progra-

mowych ZNP (s. 74—122). Wkład ZNP w rozwiązywanie problemów powojennego szkolnictwa omówiono w rozdziale trzecim (123—179), zaś aktywizację społeczną, oświatową i kulturalną nauczycieli, stylizowaną przez ZNP — w rozdziale czwartym (s. 180—210). Rozdział piąty (s. 211—236) traktuje o rozwiązywaniu przez ZNP problemów prawnych, materialnych i socjalnych nauczycieli, zaś rozdział szósty (s. 237—243) o materialnych podstawach działalności Związku.

Opracowanie to należy powitać z dużym uznaniem, jako ważne działanie historyograficzne z zakresu dziejów najnowszych Polski.

Bogactwo materiału faktograficznego, pokazującego działalność nauczycielskiej organizacji związkowej dostarcza niezwykle obszernego i interesującego, często kontrowersyjnego materiału poznawczego. Autor sięgnął bowiem do bazy źródłowej (Archiwum ZG ZNP, Centralne Archiwum PZPR, Archiwum Związków Zawodowych i in.) oraz wykorzystał bogatą wiedzę pozazródłową, głównie naukową.

Wartość pracy podnoszą liczne tabele, wykresy, fotografie, indeksy: nazwisk (zarówno w przypisach, jak i w indeksie błędnie podano nazwisko Ludwika Hassa; w pierwszym przypadku jest Hassa, a ma być Hass), związków i stowarzyszeń nauczycielskich, kalendarium posiedzeń ZG ZNP w latach 1945—1948, a także starannie przygotowane streszczenie w języku niemieckim (tłumaczenie dokonane przez Michała Narzelaka).

Niniejsze moje uwagi są niewątpliwie subiektywne. Eksponuje jednak wartość pracy z tego punktu widzenia, iż spełniona przez organizację związkową nauczycieli rola społeczna — o znacznie szerszym zakresie niż to można przypisać związkowi

zawodowemu — współdecydująca o drogach rozwoju polskiej oświaty, zasługuje w pełni na pogłębioną refleksję naukową.

Praca R. Stankiewicza stanowi ważny przyczynek do pogłębienia zagadnienia odradzania się nauczycielskiej organizacji zawodowej. Jest godna polecenia nie tylko nauczycielom, ale również działaczom społeczno-politycznym. Rekomendowana być musi także historykom, w szczególności historykom ruchu związkowego, czy też historykom wychowania. Niestety, trudno ocenić, czy ta rekomendacja jest realna. Książka ukazała się „aż” w 220 egzemplarzach.

JAN HELLWIG

*) Ryszard Stankiewicz: Związek Nauczycielstwa Polskiego 1944—1948. Oczekiwania i rzeczywistość. Wydawnictwo Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze.

TEORIA I PRAKTYKA

Pe przeczytaniu artykułu M. Grochowskiej pt. „Dyrektor i debiutantka” („Głos Nauczycielski” nr 5/1988 r.), chciałbym podzielić się moimi refleksjami na poruszony temat. Pracuję w zawodzie dwadzieścia dziewięć lat. Obecnie jestem dyrektorką szkoły niżej zorganizowanej.

W szkole wiejskiej nauczyciel uczy tego, czego uczyć musi, często wbrew zainteresowaniom i zdobytej specjalności. Tu nie ma specjalistów. Jeśli się ktoś z nich zabłąka, to na rok, i wtedy nauczyciel np. matematyk (sytuacja z mojej szkoły) przygotowany do nauczania w klasach starszych, uczy dzieci od kl. pierwszej. Po roku odchodzi do szkoły miejskiej lub z lepszym dojazdem. Tak jest ze wszystkimi przedmiotami. Młody nauczyciel dostaje program, często wzorcowe rozkłady materiału, wchodzi do klasy bazując na tym co w programie. Zgodnie ze wskazówkami „z góry” obniża się od kl. pierwszej wymagania w stosunku do dzieci nie nadążających, wprowadza indywidualizację, pracę na różnych poziomach. Już w klasie drugiej, trzeciej między wiedzą i umiejętnościami dzieci, które dają sobie radę a tymi, które stoją na biegunie przeciwnym powstaje przepaść, która z roku na rok się pogłębia. Przyczyny?

Po pierwsze: 25 proc. dzieci ma według badań poradni wychowawczo-zawodowej obniżony poziom inteligencji. Nie nadają się one do szkoły specjalnej, ale nie są w stanie podjąć stawianym przez program wymaganiom w przewidzianym czasie. W tymże programie nie ma rezerwy na powtórki, utrwalanie wiedzy, a tym dzieciom potrzeba na utrwalanie więcej czasu, niż pozostałym. Zarzykowałabym twierdzenie, że tyle samo co na opanowanie nowego materiału, a więc dwa lata zamiast jednego na każdą klasę.

Po drugie: następne 50 proc. dzieci uczy się tylko w szkole, w domu nikt im nie pomaga. Dzieci te z reguły podczas sprawdzianu nowego materiału na tej samej lekcji radzą sobie dobrze, ale po kilku dniach rozwiązują te same zadania z trudem i na klasówce otrzymują oceny niedostateczne. A sprawdziany półroczne czy roczne są dla nich nie do napisania. Niezależnie od przedmiotu. Tutaj nie pomoże jedna czy dwie godziny zespołu wyrównawczego w tygodniu. Trzeba byłoby wprowadzić jedną, a może dwie godziny (j. polski i matematyka) dziennie, aby te dzieci mogły prace domowe ze wszystkich przedmiotów odrobić w szkole pod kierunkiem nauczyciela, który wyjaśniłby wszystko jeszcze raz.

Po trzecie: ważne jest także środowisko. Nie czyta się w domu, więc i dzieci nie czytają nawet lektur, nie uczą się historii, geografii, biologii, bo nie potrafią zrozumieć tekstu, którego płynnie nie przeczytają. Program już w kl. I przewiduje omawianie tekstu po cichym przeczytaniu. Jak to wygląda w wypadku tych 75 proc. (o których pisałam wcześniej)? Dzieci czekają ze strachem, że nauczyciel wyrwie je do odpowiedzi. Nauczyciel, „nakarmi” wskazówkami metodycznymi i doświadczeniem własnym, rzeczywiście nie czeka na ich odpowiedzi, choć stara się je uaktywnić. Odpowiada jeden uczeń z tych 25 proc. Przepaść pogłębia się z każdą klasą, z każdym dniem, z każdą godziną lekcyjną.

Po czwarte: nie napisałam jeszcze o alkoholizmie, kłótniach, biciu, o metodach wychowawczych rodziców. Oto ojciec traktorzysta pędzi prawie 3 km syna, ucznia klasy drugiej, przed traktorem. Przyczyna: rozmowa z wychowawczynią o postępach ucznia i jego zachowaniu. Nie mamy odwagi „współpracować” z takim rodzicem. Matka uśmiecha się, gdy odwiedzamy ją w domu i nie robi nic. Mówi w dodatku: „Mój syn zostanie piłkarzem, wyjedzie do Niemiec (oczywiście Zachodnich), na co mu tyle niepotrzebnych rzeczy klasę do głowy”.

Ponadto rzeczywiście szkolnictwo wiejskie dysponuje gorszymi budynkami i „gorszymi” nauczycielami. To na wsi pracuje duża część nauczycieli bez kwalifikacji, a nawet ci kwalifikowani uczą niezgodnie ze zdobytą specjalnością.

Dlatego zgadzam się z dyrektorem, który widzi istniejący stan i wie, że nie jest w stanie go zmienić (od lat mówi się o likwidacji wszelkich zespołów wyrównawczych, na rzecz zespołów korekcyjno-wyrównawczych, prowadzonych przez nauczycieli do tego przygotowanych, ale takich jest mało nawet w miastach — „szkoda pieniędzy wyrzucanych w błoto”).

Debiutantka ma także rację, ale z polityki „czysto” teoretycznych. Uczniowie nie mają podstawowych wiadomości, na któ-

rych powinna oprzeć naukę w powierzonej jej klasie. To jest prawda i to ją denerwuje, ale po latach pracy i jej uczniowie będą niedouczeni z przyczyn od niej niezależnych choćby pracowała z całym oddaniem. Wtedy zrozumie, że teoria i praktyka to nie to samo.

Jest źle, uważam że należałoby pomyśleć o systemie, w którym dzieci uczyłyby się w szkole, nie zabierając podręczników do domu. Wyniki nauki wyrównałaby się, byłaby mniejsza drugoroczność, lepsze wyniki w szkołach ponadpodstawowych. Sądzę, że w ogólnym bilansie strat (wyłącznie materialnych) i zysków (nie tylko materialnych) na pewno byłoby to opłacalne.

ALEKSANDRA CHLEBOWSKA
Rogawica

WRACAJĄC DO SPRAWY

Przeczytałem niedawno reportaż Jerzego Morawskiego pt. „Piąta lekcja” („Przegląd Tygodniowy” 1988 nr 1) oraz relację Witolda Salańskiego w numerze 5. „Głosu Nauczycielskiego” zatytułowaną „Dwa lata samowoli” — obie wypowiedzi dziennikarskie dotyczą „szefa” tej samej szkoły. Dochodzę do wniosku, że wielokrotnie już słowne „rozdzieranie szat” niczego nie zmienia, a fakty przedstawiające „wyczyny” pedagogiczne dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Przasnyszu — faktami pozostają.

Groźne społecznie jest tylko to, iż takich i im podobnych „faktów” w naszej oświacie jest jeszcze dużo a narastające straty społeczno-moralne — a chyba i polityczne — są ogromne. Rzecz w tym, by właściwe władze, tu i teraz, wyciągnęły wnioski z tych „faktów” hańbiących naszą oświatę — chodzi nie tylko o władze polityczno-oświatowe w Przasnyszu. Ostrołęce, ale i w dziesiątkach innych miejscowości.

Podobne decyzje (pomyłki?) kadrowe w szkolnictwie pogłębiają stan „zapaści” naszej oświaty i przyczyniają się do „rozjęcia się” słów i czynów. Dodajmy, że chodzi dzisiaj o likwidowanie nie tylko skutków — ale przede wszystkim o likwidowanie przyczyn stanu rzeczy.

Sprawom polityki kadrowej poświęcone było — jak pamiętamy — XIII Plenum KC PZPR. Ileż wtedy padło słusznych słów, wskazówek i zaleceń... W maju 1986 roku podjęta została „Uchwała Biura Politycznego KC PZPR w sprawie polityki kadrowej w partii i państwie”, w której mówi się o „wyciąganiu wniosków wobec osób, które zaniedbały obowiązki, przejęły biurokratyczny styl pracy, spowodowały straty, nadużyły zaufania, skompromitowały się moralnie, naruszyły prawo...”. Jest właśnie konieczność wyciągnięcia owych „stosownych wniosków” w Przasnyszu, w Ostrołęce i gdzie indziej.

Redaktor W. Salański pyta w „Głosie Nauczycielskim”: dlaczego tak miernemu nauczycielowi o niezwykle niskim morale, który niczym się nie wyróżnia w poprzednich miejscach pracy — powierzono odpowiedzialne stanowisko i dlaczego nie reagowano na skargi i krytykę społeczną? Chyba nadszedł już czas, byśmy przestali stawiać pytania w takiej, bezosobowej formie. Teraz trzeba ustalić: kto konkretnie, imiennie, powierzył tej osobie takie stanowisko, kto imiennie miał obowiązek reagować na krytykę, a nie zareagował? Nasze prawodawstwo bowiem nie przewiduje odpowiedzialności zbiorowej, zawsze odpowiada konkretny obywatel, jako podmiot prawa.

Jeden z naszych wybitnych socjologów stwierdził niedawno, że szkody ogromne przynosi u nas podwójny system sprawowania władzy — kadrowe decyzje podejmuje faktycznie osoby pełniące odpowiedzialne funkcje w aparacie politycznym (partyjnym) — natomiast nader często „firmują” te decyzje osoby zatrudnione w administracji państwowej. Nie ukrywajmy tych faktów! Przestańmy wreszcie prowadzić tę dziwną, enigmatyczną grę.

Profesor Jan Szczepański na trzecim posiedzeniu Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa (18 maja 1987 r.) stwierdził m.in., iż trzeba w języku codziennej praktyki powiedzieć, na czym polega kierownicza rola partii oraz jasno i wyraźnie określić zakresy odpowiedzialności poszczególnych instancji za konkretne decyzje. Gdy bowiem „administracja państwa staje się dla partii najważniejszą transmisją, wtedy biurokratyczny paraliż tej administracji staje się dla partii poważnym zagrożeniem”.

Z publikacji przedstawionych na łamach „Głosu Nauczycielskiego” i „Przeglądu Tygodniowego” niedwuznacznie wynika, że decyzje odnośnie mianowania Wojciecha J. dyrektorem LO w Przasnyszu zapadły w KW PZPR w Ostrołęce. Niechaj więc ta instancja przypomni sobie, że kierownicza rola polega też na braniu pełnej odpowiedzialności za podejmowane decyzje. W latach odnowy naszego życia społecz-

no-politycznego nie do przyjęcia jest „argumentacja” (jeszcze nierzadko praktykowana!), że krytykując konkretną osobę „z aparatu” — krytykujemy socjalizm. Właśnie przeciwnie: eliminując wpływy pozorantów i polityków — bronimy wartości ustrojowych! (przypomnijmy sobie przewodnią myśl IX Zjazdu...)

Powiedzmy też przy okazji: „zmodernizowany” i wprowadzony z początkiem bieżącego roku szkolnego Regulamin Rady Pedagogicznej faktycznie nie dopuszcza, by zespół nauczający w danej placówce oświatowo-wychowawczej mógł współdecydować o przyjęciu lub zwolnieniu dyrektora. A może jest to jedna z przyczyn utrzymywania się na stanowiskach kierowniczych w oświacie zwykłych „pajaców”? Wytworzyła się wręcz paradoksalna sytuacja: szkoła, która ma przygotować młodzież do życia w społeczeństwie ludzi dorosłych, do podejmowania pracy w samorządnych (produkcyjnych) zakładach pracy — sama z samorządnością ma niewiele wspólnego! I znów nasuwa się pytanie: kto imiennie za ten stan rzeczy odpowiada?

Wracając do artykułu W. Salańskiego: zgadzam się z propozycją redaktora, by dyrektor szkoły przez rok przynajmniej pracował na okresie próbnym a następnie — i to już moja sugestia — mogłaby pracę dyrektora opiniować corocznie (absolutnie?) Szkolna Rada Nadzorcza, składająca się z przedstawicieli rady pedagogicznej, komitetu rodzicielskiego i samorządu uczniowskiego — te gremia na co dzień obserwują pracę „szefa” szkoły. Może wtedy mniej liczyłyby się owe sławetne „układy” na szczeblu gminy, miasta czy województwa?

Osobiście wierzę mocno, że idea autentycznej samorządności jest główną szansą dla rozwoju naszego systemu oświatowo-wychowawczego a również i dla rozwoju realnego socjalizmu w naszym kraju.

JAN NOWAK
nauczyciel z woj. sieradzkiego

JAKIE KRYTERIA

Pierwsze to wakacje, kiedy nie pojechałam z młodzieżą na obóz (zresztą dlatego, że nie znaleźliśmy żadnego „locum” w górach). Nie chodzi mi o interwencję, tylko o pokazanie typowego moim zdaniem przykładu, jak w gorliwej przepisów i radości twórczości giną wyniki pracy nauczyciela.

Nie mogę powiedzieć, abym ze strony zwierzchników spotkała się kiedyś z niezadowoloną naganą lub nie była pochwalona przed gronem kolegów, gdy na to zasłużyłam. W tym roku przechodzę na emeryturę, ale przeraża mnie myśl, że pensja nauczyciela miałaby zależeć — jak tego chcą niektórzy — od wyników jego pracy. Kto i jak je sprawdzi?!

Pracę rozpoczęłam w 1958 r. z wielkim zapałem. Jestem zamiłowaną turystką, więc niedziele spędzałam na wycieczkach z młodzieżą (nie wiedząc nawet, że należy mi się zwrot kosztów podróży), prowadziłam również kółko fotograficzne, co w sumie spowodowało, że od pierwszego roku pracy otrzymywałam nagrody. Fakt, że wtedy większość grona otrzymywała nagrody, niedużo, po 100—700 zł. Po wyjściu za mąż wyjechałam do innego miasta i podjęłam pracę w liceum ogólnokształcącym. Od pierwszych dni przydzielono mi opiekę nad organizacją młodzieżową, później zostałam również komendantką OHP i sekretarzem ogniska ZNP. Zawsze prowadziłam też kółko fizyczne. Moi uczniowie zajmowali czołowe miejsca w turniejach fizycznych (a nawet kilku przeszło parę szczebli olimpiady). Mam wszystkie wyróżnienia: miasta, województwa, organizacji młodzieżowych, związków i Złoty Krzyż Zasługi.

Ale wracam do istoty sprawy. W roku 1973 wieloletniego dyrektora naszej szkoły (rok wcześniej dostał wiecyste mianowanie na dyrektora, sic!) za zaniedbania papierkowe, usunęło. We wrześniu mianowano nowego, a od listopada rozpoczęto frontalną wizytację, pierwszą w województwie pracującą według nowych przepisów. W czasie jej podsumowania inspektor powiedział nam, że na naszej szkole chciwno wypracować kryteria ocen. Nasze arkusze spostrzeżeń były czystymi kartkami, na których nowy dyrektor niektórym osobom zapisał uwagi o kontrolowanym dzienniku lub ew. spóźnieniu na dyżur. Szkoła miała w tym czasie 96 proc. przyjęć na studia i plasowała się pod tym względem w czołówce krajowej. A oceny grona były takie: 3 dbb, 1 dostateczne i 1 niedostateczne.

Grono liczyło około 40 osób i kilka (w tym ja) wystąpiło z prośbą o ponowną ocenę. Jednak tylko osoba, która otrzymała „nd” została po pół roku ponownie oceniona. Pozostali musieli czekać do ponownej wizytacji, która pojawiła się po kilku latach. Zostałam wtedy oceniona na bardzo dobrze. Niedługo otrzymałam się oceną maksy-

malną, bo oto ustalono nową skalę ocen i najlepsi zostali wyróżniali się. Ponieważ stale podnoszę swoją wiedzę, ukończyłam wiele kursów prowadzonych przez ośrodki metodyczne, ODN, a także studia podyplomowe, zaczęłam ubiegać się o nową ocenę.

W tym czasie zmienił się dyrektor i do nowego wystąpiłam ze stosownym podaniem. Zaginęły jednak arkusze spostrzeżeń, które poprzedni dyrektor prowadził, jak mi się wydaje, skrupulatnie. Nowy z początku był zbyt zajęty i tak nową ocenę otrzymałam dopiero w roku 1984. Opisowa, bo taka podobno miała być, ale bardzo korzystna.

Wiosną 1987 r. złożyłam podanie o specjalizację, ale odrzucono je. Zdenerwowana, zaniósłam wszystkie medale, odznaczenia, krzyże i dodatkowe zaświadczenia z różnych kursów, których przedtem nie załączałam, ale urzędniczka była nieubłagana: „Pani nie ma oceny”. To był już czerwiec 1987 r., a w lipcu dowiedziałam się, że wraca z urlopu wychowawczego koleżanka. Od przyszłego roku liczba godzin fizyki maleje i za rok byłabyś na gołych etatach, a za dwa lata będzie brakować jednego etatu. Za rok wiek nakazuje mi pójść na emeryturę. Zebrałam więc w tym roku wszystkie nadliczówki, dodatkowo zatrudniłam się w internacie i odchodzę! Mam zawiązką specjalizację! Podobno wpisano mi już ocenę. Jaką i czy ona wystarczy np. do nagrody ministra, przestało mnie już interesować. Zrezygnowałam ze stanowiska sekretarza POP, ale jestem opiekunką samorządu szkolnego i znowu w tym roku mój uczeń zakwalifikował się do etapu okręgowego olimpiady fizycznej. A to daje satysfakcję!

30 lat pracy nauczyło mnie, że nauczyciel będzie miał tyle, ile wypracuje za godzinę. Uznaje to rzecz palcem na wodzie pisana i trzeba być nie tylko nauczycielem, ale i prawnikiem stałe, na bieżąco znającym zmieniające się przepisy!

Czy ten opis nie zaprzecza lansowanej obecnie tezie o opłacaniu nauczyciela zgodnie z wynikami jego pracy? Przecież jeszcze nie wiadomo, jak nauczyciela ocenić! A jak ocenić wychowawców? Czy wynalazł ktoś miernik miłości do dziecka lub areometr do zmierzania ilości wiedzy, która została w głowach? Można określić złego nauczyciela, ale to będzie ten niesystematyczny, zachowujący się niemoralnie, „wagarujący”. Takich jest niewiele! Wiekłość to może nie twórcy, ale rzetelni rzemieślnicy.

KRYSTYNA SKURZYŃSKA
Koszalin

CZAS BIĆ NA ALARM

Od dłuższego czasu obserwuje się, tak wśród młodzieży, jak i dzieci zanik wrażliwości, rosnąca agresja. Środowiska rodzinne, szkolne, społeczne — powoli przywykły do tego stanu rzeczy. Opinia powszechna potępiła wzrost agresji, ale na „biadoleniu” zdaje się sprawa kończyć.

W niedawnym programie z cyklu „5-10-15” wśród młodzieży przeprowadzono sondę na temat oglądanych filmów i programów tv. Wynik tej sondy był oczywisty — zainteresowaniem cieszą się przede wszystkim te programy, które eksponują przemoc, gwałt, dominację siły. Tu w sukurs idą filmy prezentowane w kinach — przecież to przed projekcją filmów z Bruceem Lee, czy „Klasztorem Shao-Lin” ustawiały się gigantyczne kolejki.

Kiedyś w tramwaju usłyszałam rozmowę dwóch chłopców — jeden z nich „chwalił się” że już 7 razy oglądał „Klasztor Shao-Lin”. Nie twierdząc, że wschodnie metody walki nie są ciekawe i że są pozbawione moralnych treści. Obawiam się jednak, że nasza nastoletnia generacja zachwyca się walką dla samej walki. Można to zresztą łatwo udowodnić, obserwując zabawy młodzieży, a nawet dzieci, w tym również w wieku 5—6 lat.

Powie ktoś, że i dawniej dzieci bawiły się w wojnę, naśladując ścieranie się do brzo ze złem. Wszystko to prawda, ale oprócz tego „w zasięgu ręki” istniały i inne wzorce. Byli „idole” na miarę Robin Hooda czy hrabiego Monte Christo, była bogata literatura, która rozwijała i kształciła w tych młodych sercach i umysłach wrażliwość, humanitaryzm, takt, kulturę.

Kto dzisiaj pasjonuje się taką literaturą, jak choćby „Baśnie” J. Ch. Andersena? Na takie zachowanie i postawy młodzieży wpływa wiele czynników — to nie tylko wpływ tv, nowinek wideo, filmów, to także spojrzenie z „przymrużeniem oka” na powszechną agresję, arogancję, nieliterację całego społeczeństwa. Młoda generacja obserwując rzeczywistość, uczy się i nabywa cech agresora i dyktatora.

Bijmy więc na alarm — póki jeszcze nie jest za późno!

ELŻBIETA FALKOWSKA
Gdańsk-Brzeźno



Fot. M. Suchecki

CD ZE STR. 1

szych i pomaturalnych, przygotowujących do pracy w szkole. Młodzież, znająca perspektywy finansowe nauczycieli, wprawdzie próbuje znaleźć miejsce na innych kierunkach, a w przypadku niepowodzenia — często dopiero przy drugim naborze — decyduje się na szkołę pedagogiczną. Nikt nie bada przydatności psychofizycznej do tego zawodu, nikt nie określa ani predyspozycji, ani morale maturzysty, bo potrzeby przesądzą o przyjęciu praktycznie każdego.

Następnie w bardzo słabych jakościowo uczelniach przyswajają sobie ten słaby kandydat przeróżne treści teoretyczne, ale bez solidnych podstaw metodyki nauczania i z dyplomem trafiają do szkoły. Dobrze, jeśli jest to dyplom uniwersytecki, gdyż me-

nie dzięki fachowości i pracy, ale dzięki różnemu społecznikowskiemu pseudodziałaniu lub po prostu dobrej komitowie z czynnikami społeczno-politycznymi. Ogromna odpowiedzialność i olbrzymia ilość obowiązków z tytułu kierowania placówką nie zawsze też sprzyja temu, aby do pełnienia funkcji garnęli się masowo ludzie wartościowi. Nie sprzyja temu także system zachęt materialnych, niskie dodatki i zwiększająca się liczba gniewnej, rozkapryszonej młodzieży nauczycielskiej, mającej wiele luk i braków w przygotowaniu do pracy, ale za to wyposażonej w wielką liczbę argumentów i nie zawsze uzasadnionych pretensji. Starsi nauczyciele po prostu powiadają: tak się dzieje, kiedy do zawodu trafia coraz więcej słabych.

System awansów nauczycielskich nie sprzyja podnoszeniu kwalifikacji zawo-

jest taka, jaka jest — rodzi się więc pytanie: czy to jest możliwe? Myślę, że możliwe i to nie tylko poprzez wyegzekwowanie z budżetu państwa dodatkowych miliardów na podwyżki. Pewnych możliwości można poszukać w samej oświacie.

Przed wszystkim trzeba odchudzić programy nauczania we wszystkich typach szkół. Nasze nauczanie jest nie efektywne wszakże nie tylko z tego powodu, że mamy nie najlepszą w swojej masie kadrę zawodową. W dużej mierze wynika stąd, iż uczymy treści zbędnych, przestarzałych, niepotrzebnych. Mądrej weryfikacji treści ciowej i godzinowej wymaga nieomal każdy przedmiot. Jeżeli chcemy więc nauczyć przyszłe społeczeństwo samodzielności w myśleniu — czas odejść od encyklopedycznego nauczania.

Nie do przyjęcia na dłuższą metę jest pięcioletni dzień pracy już w pierwszej klasie szkoły podstawowej ani przeciętnie ośmioletni dzień nauki w szkole średniej. Jedna lekcja, ale ciekawa, atrakcyjna, dobrze przygotowana, zmuszająca do intelektualnego wysiłku może z powodzeniem zastąpić dziesięć nudnych, na których uczniowie słyszą dziesiątki informacji, które i tak po kilku dniach zapomną. Myślę, że trzeba doprowadzić do sytuacji, w której uczniowie będą pytali, a nie tylko pytać będzie nauczyciel. Po to istnieją zbiory biblioteczne, źródła piśmiennicze informacji, zapewne w przyszłości także automatyczne nośniki informacji — aby za człowieka zapamiętywały. Młodych ludzi należy, moim zdaniem, uczyć przede wszystkim metod korzystania ze wszystkich źródeł informacji i logicznego myślenia w każdej dziedzinie. W odchudzeniu programowym, zarówno treściowym jak i godzinowym, do wyeliminowania wielu nawet przedmiotów włącznie — widzę duże możliwości zmniejszenia potrzeb, kadrowych szkolnictwa.

Placa w każdym zawodzie powinna być czynnikiem motywacyjnym. Zawód nauczycielski należy do tych niewielu, które w swoich taryfikacjach nie mają żadnych czynników motywacyjnych. Placę tę powinny być, moim zdaniem, różnicowane. Niewątpliwie czynnikiem różnicującym musi być wykształcenie, gdyż po to człowiek podejmuje wysiłek i ponosi koszty, aby więcej zarabiać. Wątpliwości może budzi jednak uzależnienie plac od sta-

poszczególnych dyrektorów placówek, a przynajmniej skutecznie dbający o to, aby nikt nie zrobił więcej, niż inni. Czy potrzebne są w każdej gminie, czy miasteczku, w każdej dzielnicy kilkunastoosobowe zespoły urzędników oświatowych? Czy nie wystarczy jeden inspektor rejonowy z dobrze przygotowaną sekretarką, wizytujący i lustrujący szkoły? Dajemy samodzielność fabrykom, przedsiębiorstwom — dajmy i każdej szkole. Jeżeli już mianujemy określonego człowieka na stanowisko kierownika — dajmy mu trochę władzy i pozwólmy na wykazanie się inwencją, pomysłowością. A jeżeli nie potrafi kierować — winien szybko zosć zmieniony. Rozliczajmy jednak z efektów pedagogicznych, gospodarczych, wychowawczych, a nie ze sprawozdawczości.

Wydaje się ponadto, że czas najwyższy pozwolić szkołom na prowadzenie różnej drobnej ubocznej działalności gospodarczej, a wypracowane środki przeznaczyć na własne potrzeby i premiowanie najlepszych pracowników. Czyż nie szłoby o finansowych na prowadzenie wielu rachitycznych Ośrodków Doskonalenia Nauczycieli? Zastrzeżenia budzi także instytucja wizytatorów metodyków. Nie znaczy, że nie są oni potrzebni. Jednak rekrutacja do pełnienia tej ważnej funkcji odbywa się często na zasadzie pełnego przypadku i w rezultacie w praktyce najczęściej mamy do czynienia z ludźmi zburokratyzowanymi i niedokształconymi. Sumując ten wątek: uważam, że winny to być funkcje przechodnie, przyznawane na dwa, trzy lata, najlepiej w wyniku konkursów. Otrzymanie stanowiska metodyka mogłoby być swoistym wyróżnieniem dla najlepszych nauczycieli. Metodycy zresztą także powinni być poddawani ocenie, której mogłyby dokonywać gremia nauczycielskie; samymi zainteresowanymi najlepiej wiedzą, który z metodyków im pomaga, a który tylko przeszkadza nie wnosząc nic konstruktywnego.

Myślę, że Polska należy do niewielu państw, w których placówki szkolne są oddzielone wielkim murem biurokratycznym od placówek kulturalnych, także pracujących na rzecz oświaty. W sytuacji, gdy brakuje lokali i lektur szkolnych, wiele domów kultury, bibliotek publicznych świeci pustkami. Każdy resort wznosi jednak własne biurokratyczne bariery. Opo-

BARIERY I PERSPEKTYWY

todą prób i błędów przeciętnie ambitny absolwent ma szansę stać się przyzwoitym nauczycielem. Gorzej, jeżeli skończył szkołę pedagogiczną, w której słyszał po trochu o wszystkim, a tak naprawdę niewiele go nauczono.

Potem zaczyna się pogoń za nadgodzinami i możliwościami dorobienia, co w praktyce oznacza spływanie każdej lekcji, odsuwanie i mechaniczne traktowanie każdego problemu wychowawczego. Nie ma tu miejsca na spokojną rozmowę z uczniem, na pracę z tym uzdolnionym, na korektę trudnych charakterologicznie wychowanków. Nie ma też czasu na samokształcenie. Nie do rzadkości więc należy sytuacja, w której uczniowie są mądrzejsi od swych nauczycieli i wychowawców. Trudno się przeto dziwić, że są oni sfrustrowani i zgorzkniali.

Nieporozumieniem jest masowe zatrudnianie ludzi przypadkowych; najsłabsze dziewczyny po liceach ogólnokształcących, i bez najmniejszego przygotowania pedagogicznego, stają przed chłonnym zespołem dzieci. Kompletnego braku wiedzy i umiejętności nie wyrównują kursy w ODN. Spustoszenia, które edukacja w wykonaniu takich pedagogów sieje w chłonnym, młodym umyśle są co prawda „od ręki” niewymierne, ale już wkrótce będą widoczne w postaci wtórnego analfabetyzmu społeczeństwa.

Status materialny nauczyciela stawia go w sytuacji przysłowiowego „dziada kościelnego”. Czy zresztą wypada żądać od niego permanentnego kształcenia, samokształcenia, poświęcenia ponadobowiązkowego czasu dla wychowanków? Pensja nauczyciela z dwudziestoletnim stażem równa się pensji zaczynającego pracę pomocnika malarza w wieku osiemnastu lat, a za jedną godzinę przyzwoitej lekcji nauczyciel, który moźolnie studiował, otrzyma nie więcej jak dwieście złotych.

Kolejny paradoks powoduje administracja szkolna, która jest chyba najbardziej zburokratyzowaną administracją w świecie. Przeciętny nauczyciel poświęca mniej więcej tyle samo czasu na prace biurowe, ile na przygotowanie lekcji, a niekiedy więcej. Jakość tej pracy zaś oceniana jest przeważnie według wypełnionych rubryk, formularzy, zeszytów — a nie atrakcyjnych i mądrych lekcji. Podobnie jest z dyrekcjami szkół. Znamy przecież takich szefów placówek, u których każdy dokument jest idealnie wpięty do właściwej teczki, z czego niezwykle cieszą się rzesze wizytatorów, metodyków i różnej maści kontrolerów. Nikomu nie przeszkadza, że nie ma tam już miejsca na człowieka — zarówno ucznia, jak nauczyciela i szkoła jest oceniana wzorowo.

Wątpliwości budzi także dobór kadr kierowniczych w placówkach szkolnych. Poza dyrektorami, dydaktykami i wychowawcami oddanymi sprawie szkoły i młodzieży zdarzają się, niestety, ludzie przypackowi, małostkowi i niedokształceni. Cóż, przez lata można było awansować

dowych. Urawniliówka, sztywno uzależniona od stażu pracy i wykształcenia formalnego, nie wyzwala żadnych motywacji a wręcz przeciwnie — dobrze służy wszelakiemu przeciętniactwu i lenistwu. Zdobywanie stopni specjalizacyjnych stanowi i sprowadza się często w praktyce do gromadzenia przeróżnych pism uzasadniających pozalekcyjną działalność nauczyciela. Jest to swoisty paradoks: specjalizację otrzymuje często nauczyciel nie za dobrą pracę wychowawczą czy dydaktyczną, ale przede wszystkim za wszelkie działania pozaszkolne. A w praktyce bywa tak, że kto jest bardzo aktywny poza szkołą, równie często bywa miernym nauczycielem, boć przecież nie da się wszystkiego robić przyzwyczajeniu.

Jeżeli dodać do tego rejestru braków wyjątkowo słabe zaplecze metodyczne, niedobre w wielu przypadkach podręczniki, a przede wszystkim ich brak — czy można dziwić się, że oświata jest, jaka jest?

W założeniach szkoła musi przygotować do recepcji i udziału we wszystkich formach działalności oraz aktywności człowieka. Od zasobu wiedzy ogólnej, zasobu słów, jakie dziecku przekaże szkoła, od jego sprawności intelektualnej, którą z niej wyniesie, od wpojonej umiejętności logicznego myślenia, od inicjatywy intelektualnej — zależy uczestnictwo kulturalne człowieka ale także samodzielność w przyszłej pracy, pomysłowość, inicjatywa bez których żadna reforma gospodarcza nie może się powieść.

Atrakcyjność szkoły decyduje o aspiracjach młodzieży nakierowanych przede wszystkim na pracę. Niestety — nie są to dynamizujące aspiracje. Wydaje się, że nadszedł czas, aby wrzescie stan oświaty mierzyć nie tylko liczbą szkół, uczniów, absolwentów. Stan oświaty to przede wszystkim jakość nauczania, treść programów, kompetencje i kwalifikacje zespołów nauczycielskich. Cóż z tego, że spośród wielu krajów europejskich mamy stosunkowo największą liczbę pracowników nauki, inżynierów i humanistów — jeżeli nie znajduje to odzwierciedlenia w życiu codziennym, w jakości wyrobów i usług, w rozwoju oświatowym i kulturalnym całości społeczeństwa?

Warto przeto zastanowić się nad rozwiązaniami — i to nie tylko rodzającymi się przy biurkach teoretyków — które tworzyłyby szansę „wyjścia z dołka”. Łaskawi czytelnicy powiedzą: znalazł się jeszcze jeden malkontent, których w sfrustrowanym środowisku nauczycielskim nie brakuje. Myślę jednak, że i swoiste „malkontentstwo”, może mieć charakter konstruktywny, jeżeli idzie w parze z propozycjami określonych rozwiązań, nawet subiektywnych i zapewne dyskusyjnych. Niech mi będzie więc wolno zaproponować rozwiązanie spraw, o których pisałem powyżej.

Bezpośrednią sprawą jest podniesienie statusu materialnego nauczycieli. Wiadomo jednak, że sytuacja ekonomiczna kraju

żu pracy. Pracujący wiele lat nauczyciel wcale nie musi być ani lepszy, ani ambitniejszy niż jego kolega, pracujący znacznie krócej. Opowiadam się przeto za wielokowym systemem i dużą rozpiętością uoposażeń. Opowiadam się także za uproszczonym systemem zwalniania z pracy nauczycieli. Obecnie zatrudniony na czas nieokreślony pracownik pedagogiczny jest często nie do ruszenia, jeżeli tylko przychodzi do pracy. Dyrekcja musi więc, przynajmniej przez dwa lata, mocno się natrudzić, aby pozbyć się wałkonia lub osoby mało odpowiedzialnej. Szkolnictwo powinno mieć normalny rynek pracy, z rotacją kadrową i pewnym nadmiarem chętnych do pracy.

Czy nie oznaczałoby to przesadnego uzależnienia nauczycieli od dyrekcji i administracji szkolnej — zapyta w tej chwili niejeden z czytających. Sądzę, że nie, jeżeli rotacja w pierwszej kolejności będzie dotyczyła kierowników placówek. Opowiadałbym się nawet za wprowadzeniem kadencyjności w sprawowaniu funkcji kierowniczych, przyjmując np., iż nie można dłużej być dyrektorem w jednej szkole, niż 10 lat. W ten sposób udałooby się uniknąć schematyzmu działania w kierowaniu placówkami, stworzyć szansę dla młodszych nauczycieli, nagradzać awansem najbardziej pracowitych, fachowych i ambitnych. Opowiadam się jednak za radykalną podwyżką dodatków funkcyjnych tak, by stały się one dla kierowników placówek rzeczywistą zachętą w sprawowaniu nadzoru pedagogicznego i dążeniu do jak najlepszej organizacji pracy w swojej placówce. Wszystkie czynniki pozazawodowe w mianowaniu winny mieć zupełnie drugorzędny charakter.

Uważam, że szybkiej modyfikacji winny ulec mechanizmy premiowania, szczególnie nauczycieli podwyższających swoje kwalifikacje oraz nowatorów. Paradoksem jest bowiem, iż nauczyciel, który zgromadził odpowiednią liczbę zaświadczeń o działalności pozalekcyjnej i zdobyłby którąś ze specjalizacji — otrzymuje kilkakrotnie większy dodatek niż ten, który wiele lat pracował nad doktoratem, ukończył studia podyplomowe, wykreował olimpijczyków, napisał kilka interesujących prac, opracował znaczące pomoce naukowe. Sądzę, że we wszystkich profesjach, w których pracuje się na rzecz oświatowego bądź kulturalnego rozwoju człowieka muszą istnieć intelektualne elity, grupy holujące innych. Elity takie należało odpowiednio honorować, także ekonomicznie.

Inna możliwość poszukiwania rezerw finansowych kryje się w znacznym uproszczeniu struktur zarządzania szkolnictwem. Czy potrzebne są w ogóle zespoły administracyjno-gospodarcze szkół, aż tak rozbudowane kuratoria, komórki kadrowe? Przecież praktycznie i tak wszystkie problemy gospodarcze, kadrowe, środowiskowe załatwiają kierownicy placówek. Administracja szkolna stanowi w wielu przypadkach tylko czynnik hamujący inwencję

władam się przeto za tym, aby całe życie pozalekcyjne — wszędzie tam, gdzie to jest możliwe — przenieść do placówek kulturalnych. Dlaczego biblioteka publiczna w dzielnicy, małym mieście czy na wsi nie może przejąć funkcji wspomagającej realizację szkolnych programów oświatowych? Dlaczego przeróżnych kółek zainteresowań nie można przenieść do domów kultury, muzeów, do zakładowych placówek kulturalnych? Przecież są tam fachowi instruktorzy i nudzą się, a zasnani nauczyciele po lekcjach prowadzą nudne i nieatrakcyjne, ale obowiązkowe kółka i zespoły, w których nie tyle zainteresowania dominują, ile strach przed szkolnymi restrykcjami.

Biedne szkoły nie są w stanie zakupić tak modnego i potrzebnego sprzętu komputerowego. Jednocześnie w różnych innych placówkach kulturalnych pokrywa się on kurzem i tylko od czasu do czasu ktoś poświęci na nim prymitywną grę. A mogłyby być tam zorganizowane koła zainteresowań, rekrutujące dzieci i młodzież. Integracja placówek kultury i oświaty jest dziś bardziej potrzebna niż kiedykolwiek. Szkoda, że resort kultury nie stał się częścią Ministerstwa Edukacji Narodowej — może łatwiej byłoby przebrnąć przez resortowe hamulce biurokratyczne?

W wielu krajach europejskich angażę pracowników oświaty mają tylko czasowy charakter. Jeżeli nauczyciel nie sprawdzi się — umowa nie zostaje wznowiona. Czy w naszym kraju takie rozwiązanie nie byłoby lepsze od obecnie obowiązujących? Zapewne, ale pod warunkiem, że zawód pedagoga, wychowawcy stanie się zawodem społecznie szanowanym i atrakcyjnym, że polski nauczyciel nie będzie na końcu placowych tabel zawodowych, a młódz będzie uważała wejście do tego zawodu nie za swoją klęską życiową, ale za wyróżnienie.

Póki co, na nauczaniu zna się każdy i wie, jak najlepiej uczyć i wychowywać. Jest to, niestety, objaw braku zaufania do kompetencji nauczycieli, a także braku szacunku nas samych do pracy, którą wykonujemy. Znam jednak nauczycieli, którzy za swoje ambicje po każdej wywiadówce muszą się tłumaczyć przed dyrektorami szkół ulegających naciskom mam, które chcą poprawić oceny swoich dzieci, a dyrektorzy im w tym skutecznie pomagają.

Wierzę, aczkolwiek jest to wiara na kruchych podstawach oparta, że nowo resort nazwany pięknym Ministerstwem Edukacji Narodowej, spróbuje przynajmniej podnieść status zawodowy nauczyciela, oczyścić go ze wszelkich plew i metów, stworzyć warunki do odbiurokratyzowanej pracy dydaktycznej i wychowawczej, i spróbować, żeby o nas po jakimś czasie mówiono znowu z szacunkiem.

MARIAN WALCZAK

Autor jest nauczycielem z wieloletnim stażem, obecnie pełni funkcję dyrektora Państwowego Ośrodka Kształcenia Bibliotekarzy w Jarocinie.

PYTAJ — ODPOWIEMY

REDAGUJE TERESA KONARSKA

PRZEDAWNIE NIE ROSZCZENIA A NAGRODA JUBILEUSZOWA

Po przepracowaniu 30 lat przeszedłem na emeryturę i aż do chwili obecnej pracuję na pół etatu. Nie wiedziałam, że będąc na emeryturze i jednocześnie pracując mam prawo do nagrody jubileuszowej. Kiedy przeczytałam w „Głosie” informację, że nagroda w takich przypadkach przysługuje, zwróciłam się do inspektora i otrzymałam odpowiedź, że owszem nagroda mi przysługiwała ale sprawa jest przedawniona, gdyż minęło 3 lata od momentu kiedy powinienam ją otrzymać. (Izabela D. — woj. wrocławskie)

Roszczenia ze stosunku pracy ulegają przedawnieniu z upływem 3 lat od dnia, w którym roszczenie stało się wymagalne (art. 291 Kodeksu pracy). Jednakże ten przeciwko komu roszczenie przysługuje (zakład pracy) może się zrzec korzystania z przedawnienia i wówczas zainteresowany może dochodzić swoich praw mimo upływu terminu (art. 292 Kodeksu pracy).

PRAWO DO DZIAŁKI

Czy nauczycielkom, których małżonkowie zatrudnieni w RSP i PGR posiadają działki pracownicze o obszarze 0,25—0,50 ha, przysługuje także prawo do działki szkolnej. (Norbert Sz. woj. piłskie).

Małżeństwo nauczycielskie, zgodnie z wykładnią ministerstwa oświaty, ma prawo do jednej działki, która przeznaczona jest od użytkowania w myśl art. 56 Kart. Działka ma zaspokoić określone potrzeby nauczycieli pracujących na wsi natomiast nie stanowi świadczeń typu deputat. Dlatego, jeżeli potrzeby rodziny są zaspokojone także w inny sposób, np. otrzymanie działki z tytułu zatrudnienia w służbie rolnej

— nauczyciel-współmałżonek nie ma prawa do działki szkolnej.

DODATEK OSŁONOWY A PRACA PO GODZINACH PONADWYMIAROWYCH

W szkole wypłacono wszystkim nauczycielom po 6 tys. zł. W tv słyszałam, że dodatek ten może być mniejszy lub większy w zależności od czasu pracy (1 i 1/2 etatu — 9 tys. zł). Jestem zatrudniona w szkole jako nauczycielka oddziału przedszkolnego ale oprócz tego mam 9 godzin (czyli 1/2 etatu) ponadwymiarowych jako nauczycielka klas wyższych. Uważam, że pracuję na 1 1/2 etatu i powinienam otrzymać z tego tytułu 9 tys. zł. (Teresa Wit. — Tuchola).

Dodatek osłonowy związany jest ze stosunkiem pracy. Jeżeli pracownik (nauczyciel) wykonuje pracę w wymiarze czasu pracy 1 1/2 etatu wówczas otrzymuje tylko jeden dodatek — 6 tys. zł. Natomiast gdyby ze swoim pracodawcą zawarł drugą umowę o pracę, innego rodzaju, np. dozorca szkolnego na 1/2 etatu wówczas z tytułu drugiego zatrudnienia do dodatku osłonowego — 3 tys. (proporcjonalnie do czasu pracy).

GODZINY PONADWYMIAROWE W BIBLIOTECE

Jestem polonistką zatrudnioną w pełnym wymiarze godzin. Ponadto mam pół etatu (godziny ponadwymiarowe) w bibliotece. Jak się oblicza stawkę za te godziny? (Alina S. woj. gdańskie).

Wynagrodzenie za jedną godzinę ponadwymiarową nauczyciela dydaktyka prowadzącego bibliotekę szkolną ustala się dzieląc stawkę wynagrodzenia zasadniczego (łącznie z dodatkami za trudne i uciążliwe warunki pracy oraz za

warunki szkodliwe dla zdrowia) przez miesięczną liczbę godzin obowiązkowego wymiaru zajęć nauczyciela-bibliotekarza szkolnego (30 godzin). (Dz. Urz. MOiW — z 1982 r. nr 8).

TRZYNASTKA

Nauczyciel został powołany do okresowej służby wojskowej. Czy za ten okres ma prawo do trzynastki?

Po dwóch latach służby wojskowej nauczyciel powrócił do zawodu. Czy te lata służby będą wliczone do okresu, od którego uzależniona jest wysokość nagrody? (Jerzy W.).

Powołany do zasadniczej lub okresowej służby wojskowej ma prawo do trzynastki ale proporcjonalnie do okresu pracy w zakładzie wypłacającym nagrodę w roku, za który jest ona przyznawana.

Okres służby wojskowej zalicza się do okresu zatrudnienia, od którego uzależniona jest wysokość nagrody (tj. 50, 75 lub 100 proc.).

Czy okres trzyletni przebywania na urlopie wychowawczym będzie mi wliczony do stażu pracy, od którego zależy wysokość trzynastki? (Aneta B. — Słupsk).

Pracownica odchodząca lub wracająca z urlopu wychowawczego ma prawo do nagrody proporcjonalnie do okresu pracy w danym roku, w wysokości wynikającej z okresu zatrudnienia łącznie z urlopem wychowawczym. Przypomnę, że po przepracowaniu roku pracownikowi przysługuje 50 proc. nagrody, po dwóch latach — 75 proc. a po trzech 100 procent.

Po dwóch latach od przejścia na emeryturę, podjąłem pracę na 1/2 etatu w innej szkole, nie w tej z której przeszedłem na emeryturę. Czy w pierwszym roku pracy na pół etatu już jako emeryt mam prawo do trzynastej pensji. (Juliusz S-ki)

Emeryt podejmujący pracę w niepełnym wymiarze ma prawo do trzynastki proporcjonalnie do okresu pracy w danym roku, niezależnie od tego czy jest to zakład macierzysty czy inny. Bez znaczenia pozostaje fakt w jakim czasie po przejściu na emeryturę podjął on zatrudnienie.

ROZWIĄZANIE STOSUNKU PRACY W ZWIĄZKU Z ORZECZENIEM KIZ

Proszę o ścisłą informację, kiedy (konkretny termin) następuje rozwiązanie stosunku pracy jeżeli KIZ orzeknie, że nauczyciel jest niezdolny do pracy. (Andrzej B.)

Przed wszystkim komisja lekarska do spraw inwalidztwa i zatrudnienia musi orzec o trwałej niezdolności do pracy w pełnym wymiarze czasu pracy, na zajmowanym dotychczas stanowisku. (Muszą więc łącznie nastąpić trzy elementy: trwałość, pełny wymiar i stanowisko). Dopiero orzeczenie KIZ o tej treści upoważnia pracodawcę do rozwiązania stosunku pracy z nauczycielem mianowanym.

Przyjęto w praktyce, idąc za wyrokiem Sądu Najwyższego (z 11 listopada 1982 r.), że stosunek pracy w takim przypadku rozwiązuje się z upływem miesiąca, w którym doręczono nauczycielowi decyzję o rozwiązaniu stosunku pracy.

WLICZANIE WYNAGRODZENIA Z TYTUŁU DRUGIEGO WYNAGRODZENIA DO EMERYTURY

Od 15 lat pracuję w bibliotece gminnej na 3/4 etatu. Jest to moje drugie zatrudnienie, podstawowym jest szkoła. Proszę o udzielenie mi informacji, jaka część wynagrodzenia w bibliotece będzie mi zaliczana do podstawy wymiaru emerytury. (Grażyna S. — woj. poznańskie).

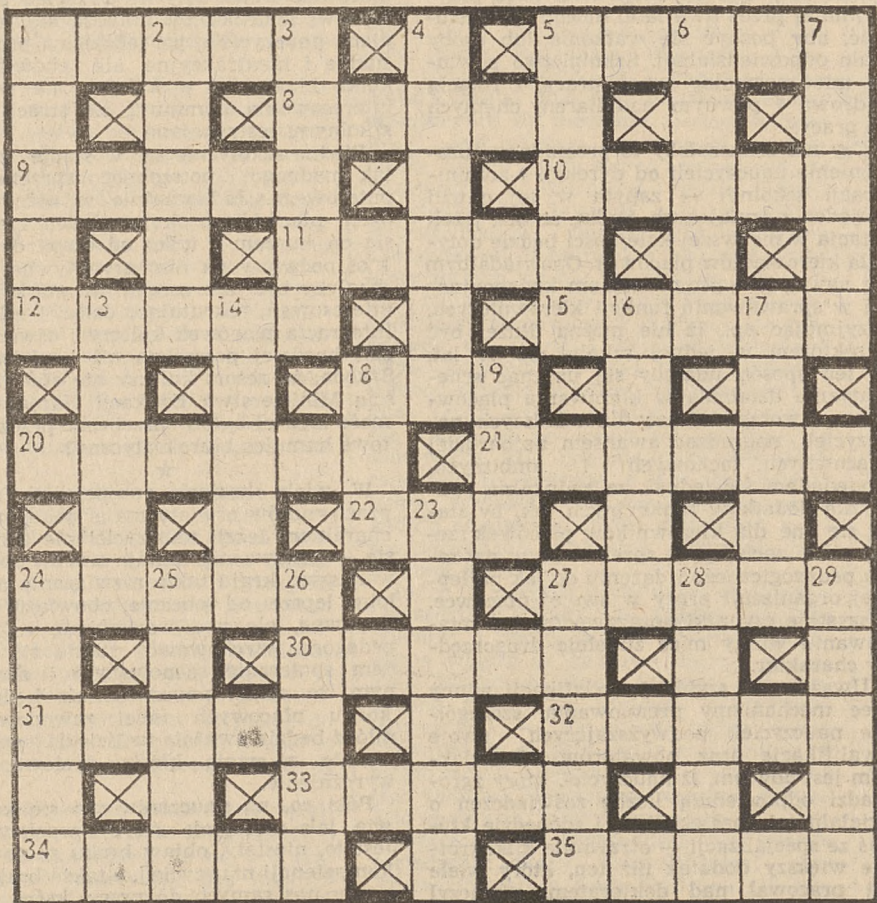
Wynagrodzenie z tytułu dodatkowego zatrudnienia uwzględnia się przy obliczaniu podstawy wymiaru emerytury w wysokości nie przekraczającej 50 proc. wynagrodzenia przyjętego do podstawy wymiaru z tytułu zatrudnienia w zakładzie pracy, w którym pracownik był zatrudniony w pełnym wymiarze czasu pracy.

Do podstawy wymiaru emerytury wlicza się wynagrodzenie z drugiego zatrudnienia (obliczone w sposób o którym wyżej) jeżeli dodatkowe zatrudnienie wykonywane było nieprzerwanie co najmniej przez 5 lat w ciągu 12 lat zatrudnienia.

MAŁDRA GŁOWA NR 5

REDAGUJE:
ZDZISŁAW NOWAK

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) wybitny poeta angielski, jeden z twórców romantyzmu, 5) tytuł znanej powieści Brezy, 8) grzbiet w Tatrach Zachodnich, 9) granica, pułap, 10) to, co ma zarówno ryba jak i nabój karabinowy, 11) okres w dziejach albo wydawnictwo Stronictwa Demokratycznego, 12) nie całość, ułamek, 15) maszyna do pogłębiania dna rzeki, 18) ogród drzew owocowych, 20) założyciel uniwersytetu w Wilnie, 21) niedokrwiłość, 22) jedna z największych rzek

na kuli ziemskiej, 24) autor powieści „Jezioro Bodeńskie”, „Pożegnania”, „Disneyland” 27) smarowidło, 30) popularna od lat aktorka naszego filmu, 31) miasto na Pojezierzu Drawskim (albo majątek ziemski), 32) jedna z republik ZSRR, 33) jeden z najstarszych klubów sportowych w Polsce, 34) część walki bokserskiej, 35) roślina oznaczająca się dużymi, osadzonymi w koszyczkach różnobarwnymi kwiatami.

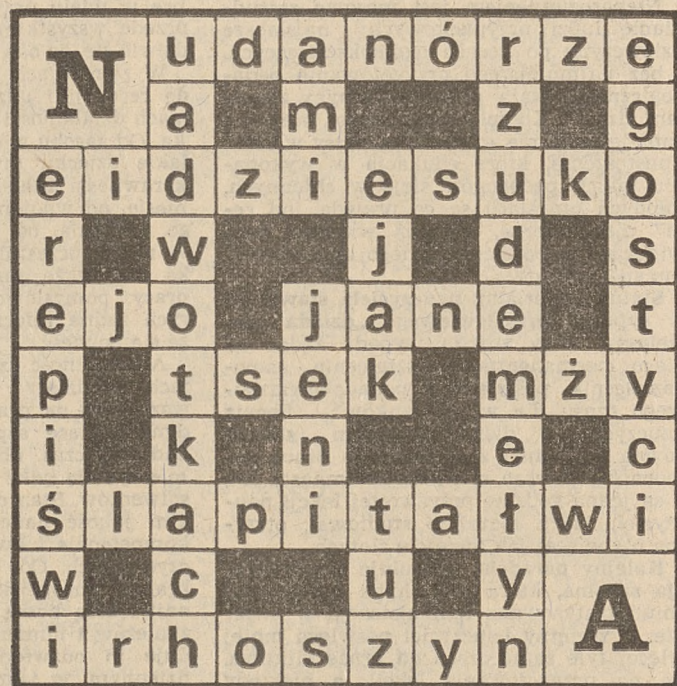
PIONOWO: 1) sworzeń, rodzaj metalowego łącznika, 2) część ciała albo dźwigu, 3) dopływ Warty połączony z Wisłą Kanałem Bydgoskim, 4) odmiana kóz, królików, kotów albo owiec, 5) pakt, przymierze, 6) śniegowa zawałidroga, 7) rzeka przepływająca przez Puszczę Drawską (także prawy dopływ Dunaju mający źródła we

Włoszech), 13) potrawa z mielonego mięsa, 14) dzień tygodnia albo dwa polskie miasta, 16) Zarawszan, 17) to, co ma każda śruba, 18) nie córka, 19) odległość, oddalenie, 23) pobieranie należności pieniężnych dokonywane na zlecenie osoby trzeciej, 24) wybitny śpiewak polski, jeden z naj-

lepszych basów, 25) aktor francuski, jeden z najlepszych w dziejach filmu („Towarzysze broni”, „Paryski włóczęga”, „Ludzie za mgłą” i in.), 26) jedna z najpospolitszych roślin na ziemi, 27) siedziba magnacka, 28) metalowy krążek, żeton, 29) port i zatoka Morza Czerwonego.

LABIRYNT ZE ZŁOTĄ MYŚLĄ

Wśród liter widocznych w polach tego oto labiryntu, ukryty jest aforyzm Alisiera Nawoi, wybitnego poety uzbekiego (także i wezyra) z XV wieku. Odczytywanie jego złotej myśli należy rozpocząć od dużej litery „N” (u góry rysunku), natomiast zakończyć na dużej literze „A” (tej u dołu). Oczywiście wędrować trzeba z pola do pola kolejno, bez przeskakiwania. Dla ułatwienia ujawniamy, iż owa złota myśl Alisiera Nawoi, zbudowana jest zaledwie z czterech wyrazów.



NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie rozrywek umysłowych (Mądra Głowa nr 2), bony oszczędnościowe PKO po 1000 zł wylosowali: Alicja Wojtanowska — Rzeszów, Bronisław Czajka — Piotrków Trybunalski, Weronika Michalska — Skawina.

Natomiast nagrody książkowe wylosowali: Barbara Rycerz — Rzepin, Grzegorz Kukla — Stanisławice, Marian Trachimowicz — Ostrów Wlkp., Elżbieta Gratkowska — Ścinawa, Władysław Toppercer — Ostrów Maz.

Rozwiązania zadań (przynajmniej jednego), prosimy nadsyłać pod adresem: Redakcja „Głosu Nauczycielskiego”, ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa, w terminie do 10 dni, z dopiskiem na kopercie „Mądra Głowa nr 5”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy 3 bony PKO po 1000 zł oraz 5 nagród książkowych.

WSZYSCY BILI BRAWO

Zarząd Oddziału ZNP wspólnie z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Jaświłach zorganizował I Mistrzostwa Szaradziarskie uczniów i pracowników oświaty. Bawiliśmy się świetnie. Ja przygotowałem krzyżówki, rebusy, kalambury, anagramy dla uczniów, Eugeniusz Jacel natomiast zadania diagramowe dla nauczycieli. Rywalizacja zaczęła się rano. Od początku emocje były ogromne. Zawodnicy w skupieniu zapelniali literami poszczególne kratki. Pannie wiodły prym. Zdarzały się zabawne sytuacje, gdy niektórzy mylili hipopotama ze słoniem, chociaż rysunek był wyraźny.

— Co to wyraz, czy zdanie palindromowe — pytali uczniowie. — To, które czyta się wprost i wspak — padała odpowiedź. — Takim jest Anna — cieszyli się. — Kobyła ma mały bok. Zestawy powoli zapelniały się rozwiązaniami. Nagle olśnienia i rezygnacje przeplatały się wzajemnie. Zachęcaliśmy i przyglądaliśmy się, kto zwycięży w tej rywalizacji. Jeszcze moment napięcia i koniec zmagani. Przerwa. Zawodnicy oglądali film przygodowy, my

zaś zabraliśmy się do podsumowania wyników. Pod lupę poszły prace nauczycieli. Potem zadania uczniów i tu miłe zaskoczenie. Oni są naprawdę dobrzy. Na ogólną liczbę 48 pkt najlepsza zawodniczka uzyskała aż 42 pkt.

Pierwsze miejsce wśród nauczycieli zajęła Teresa Jurska, drugie Genowefa Dąbiewicz, której dzielnie sekundowała jej 4-letnia córka, na trzecim uytuował się Lech Wojdołowicz. Uczniowie bili gromkie brawa swym preceptorom, my zaś wręczyliśmy im albumy i inne drobne upominki.

W grupie uczniów zwyciężyli Ewa Burzyńska — kl. VII, Agnieszka Rydzewska — kl. VIII, na trzecim miejscu znalazł się Artur Jurecki z kl. VIII. Tym razem brawa bili nauczyciele. Znow dla najlepszych były nagrody ufundowane przez GOK oraz reklamówki z krzyżówkami od SKO. Zawody uwieńczone zostały zdjęciem pamiątkowym i obietnicą, że w przyszłym roku spotkamy się znowu.



Pierwsze miejsce wśród nauczycieli zajęła Teresa Jurska, która odbiera nagrodę z rąk prezesa ZO ZNP.

Podobną imprezę zorganizował Zarząd Okręgu ZNP w Białymstoku, rozpoczynając w ten sposób działalność Nauczycielskiego Klubu Szaradzystów „Bakalarz”. Przewidziane jest ukazanie się pisemka z zadaniami szaradziarskimi. Ma być ono roze-

ślane do zarządów oddziałów, a te z kolei przekażą chętnym nauczycielom. A może warto zorganizować Szaradziarskie Mistrzostwa Polski? To może być wspaniała zabawa...

ANDRZEJ PERESZCZAKO

PO RAZ TRZECI DRUŻYNOWO

GÓRA WARSZAWA

W Nisku odbyły się III drużynowe Mistrzostwa Polski Nauczycieli (finał).

Na starcie stanęło 12 drużyn. Kandydatów do I miejsca upatrywano w reprezentacjach wojewódzkich klubów nauczycielskich z Warszawy, Wałbrzycha, Krakowa i Koszalina. Silny skład przysłała tym razem również Łódź.

Przebieg obecnych mistrzostw pokazał, że w ciągu trzech lat od chwili rozpoczęcia rozgrywek mistrzostw drużynowych poziom zawodników poszczególnych reprezentacji systematycznie wzrastał i żadna już drużyna nie może liczyć na łatwe zwycięstwa. Że tak jest, przekonała się cała tegoroczna czołówka na własnej skórze i tak, Warszawa już w I rundzie zaledwie zremisowała 2:2 z Zamościem, a Koszalin, który cały czas pretendował do I miejsca, zremisował z drużyną gospodarzy



rzy (Tarnobrzeg) 2:2, a zawsze silny Wałbrzych przegrał 1,5:2,5 z okupującym jedno z ostatnich miejsc Ciechanowem, Kraków, który według pozycji na szachownicach powinien wygrać z Koszalinem 3:1, przegrywa pechowo właśnie w takim stosunku. Przez cały czas trwania turnieju niespodzianka goniła niespodziankę, dzięki czemu mistrzostwa były bardzo ciekawe, emocjonujące i atrakcyjne dla wszystkich uczestników.

Losy mistrzostwa zostały rozstrzygnięte dopiero w ostatniej, jedenastej rundzie, kiedy Warszawa zremisowała 2:2 z Wał-

brzychem a Koszalin wygrywając wysoko z Łodzią 3:1 dogonił punktowo prowadzącą prawie przez cały czas Warszawę.

Ostatecznie tytuł mistrzowski zdobyła stolica, dzięki lepszej punktacji meczowej — straciła 2 punkty meczowe a Koszalin 4.

Oto szczegółowe wyniki rozegranych mistrzostw:

1. Warszawa 32,5 pkt., 2. Koszalin 32,5 pkt., 3. Wałbrzych 29,5 pkt., 4. Łódź 26 pkt., 5. Kraków 24,5 pkt., 6. Zamość 20,5 pkt., 7. Przemyśl 19 pkt. 8. Kalisz 18 pkt., 9. Piła 16,5 pkt., 10. Ciechanów 16,5 pkt., 11. Tarnobrzeg 15 pkt., 12. Siedlce 13,5 pkt.,

Zwycięskie drużyny wystąpiły w następujących składach:

I Warszawa: 1. M. Maćkowiak 2. L. Gawarecki 3. K. Piater 4. M. Murach, rez. B. Kusiński — kpt. drużyny

II Koszalin: 1. L. Kowaleczyk 2. T. Maszkowski 3. K. Tutur 4. H. Kucharski — kpt.

III Wałbrzych: 1. K. Puszciewicz 2. Wl. Maciszewski 3. S. Bieliński 4. A. Jansa, rez. A. Litewińska — kpt.

Najlepszym zawodnikiem mistrzostw okazał się Tadeusz Maszkowski, który nie tylko wygrał swoją II szachownicę, ale również uzyskał najlepszy bezwzględny wynik 10 pkt. na jedenaście możliwych.

Pierwszych sześć drużyn uzyskało prawo gry w finale IV Mistrzostw bez eliminacji w turniejach strefowych.

Sportowym, pozytywnym pokłosiem III Mistrzostw było uzyskanie pierwszej normy na I kategorię przez M. Piechockiego z Piły i M. Karasińskiego z Przemyśla oraz drugiej kategorii przez K. Tuturę z Koszalina.

Mistrzostwa przebiegały w koleżeńskej, sportowej atmosferze ułatwiając maksymalnie pracę sędziemu głównemu kol. Stanisławowi Marcinkowskiemu ze Świdwina.

OGŁOSZENIA DROBNE

Magister polonistyki, przygotowanie pedagogiczne, sześcioletni staż, poszukuje pracy. Warunek: mieszkanie. Oferty: Anna Jankowska, 09-200 Sierpc, Borkowo Wielkie 53. 74

Małżeństwo, mgr inż. mechanik i mgr biologii z 2-letnim stażem pedagogicznym, poszukuje pracy. Warunek: mieszkanie rodzinne. Oferty: Dorota Waligóra, ul. Ogrodowa 3a/41. 58-340 Głuszycza. 73

Samotna, mgr filologii polskiej, poszukuje pracy na wsi, najchętniej w szkole średniej. Oferty: Elżbieta Boros, ul. Korczaka 66, 87-300 Brodnica. 72

Samotna nauczycielka, mgr matematyki, z dwuletnim stażem poszukuje pracy od 1.09.1988 r., z mieszkaniem. Oferty: Wydawnictwo Współczesne, ul. Wiejska 12, 74

UWAGA ABSOLWENCI bylego SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIEGO I LICEUM PEDAGOGICZNEGO w Pszczynie

w dniach 24—25 września br. odbędzie się zjazd absolwentów. Wstępne zgłoszenia wraz z podaniem adresu zamieszkania prosimy przesać do końca marca pod adresem: Wydział Oświaty i Wychowania, ul. 1 Maja 1, 43-300 Pszczyna. Warunki uczestnictwa i program zjazdu zostaną zainteresowanym przesłane po otrzymaniu wstępnego zgłoszenia.

KOMITET ORGANIZACYJNY K-62

MIEJSKO-GMINNY OŚRODEK KULTURY

73-210 Recz

zatrudni

małżeństwo: muzyk-choreograf lub muzyk-plastyk lub muzyk-tancerz. Zapewniamy mieszkanie w domku jednorodzinnym z wygodami. Szczegółowe informacje na temat warunków pracy i płacy można otrzymać w M-GOK w Reczu, ul. Ratuszowa 27, woj. gorzowskie, tel. 123, w godz. 8.00—16.00.

K-75

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

49-250 Otmuchów, woj. opolskie

zatrudni

z dniem 1 września 1988 r.

małżeństwo nauczycielskie (nauczyciela) z przygotowaniem muzycznym do prowadzenia zajęć lekcyjnych i pozalekcyjnych (między innymi chór, zespół muzyczny, orkiestra dęta). Zapewnia się rodzinie 3-pokojowe mieszkanie.

K-76

TYGODNIK ODZNACZONY



KRZYŻEM KOMANDORSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI



ZŁOTA ODZNAKA ZNP



MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ



KRZYŻEM ZA ZASŁUGI DLA ZHP

Koszty prenumeraty krajowej na 1988 rok: kwartalnie — 325 zł półrocznie — 650 zł rocznie — 1300 zł.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo ich skracania i opatrywania tytułami.

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń Reklam Wydawnictwa Współczesnego 00-190 Warszawa, ul. Wiejska 12, telefon 28-24-11 wewn. 195 i 221. Ceny ogłoszeń: drobne — 140 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższe; dodatkowo opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 200 zł; kredytowe: komunikaty — 300 zł, nekrologi — 250 zł, reklamy — 250 zł za 1 cm kw.

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: NEP; III O/M Warszawa 1038-5223.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 34/36.

Nr indeksu 35 823
PI ISSN 0017 1263
Zam. 408. U-4.

KONIEC I BOMBA

Książka Joanny Siedleckiej „Jaśniepanicz” (Wydawnictwo Literackie '87) wymaga rozczuwania się w niej, bo nie jest zwykłą. Dopiero po kilkunastu stronach lektura staje się rzadką przyjemnością. Jest to bowiem opowieść o Witoldzie Gombrowiczu, zebrana od wielu osób, świadków jego życia, liczących dziś często powyżej 80 lat, przy tym rozsianych po kraju lub zamieszkałych za granicą.

Czytamy o Gombrowiczu, żeby się przekonać, że ta szczególna jakby monografia staje się autonomicznym dziełem literackim o naszym XX stuleciu. Przy czym autorka książki, poza wstępem, sama nie zabiera głosu, bo udziela go innym, a i Gombrowicz przez znaczną część książki widziany jest przelotnie, milczy. Mówią ci, co go znali. On sam odezwie się później w listach do rodziny, do tłumaczy, wydawców, w rozmowach, które zapamiętano. Stanie się bliższy.

„Cel mojej — podkreślam — reporterskiej książki (pisze Joanna Siedlecka w przedmowie) to przede wszystkim drugi plan — relacje osób, które nie pochwyciłyby nigdy same za pióro. Ich wspomnienia o Gombrowiczu przeпадłyby bezpowrotnie. A przecież coraz mniej wśród żyjących tych, co go znali i pamiętają”.

Czyje więc wypowiedzi „powołuje do druku” Joanna Siedlecka? Żyjących jeszcze przedstawicieli służby Gombrowiczów i Kotkowskich (nazwisko panińskie matki pisarza). Także krewnych, pamiętających Małoszycę, Bodzechów, Potoczek lub Wsolę — dobra i folwarki rodziny Witolda, w których spędzał on znaczną część dzieciństwa i lat młodości. To wreszcie migawkowe wspomnienia pisarzy, uczonych, plastyków, filmowców czy też „zwykłych emerytów”, no i wspaniałej Anieli, służącej Gombrowiczów z ich warszawskich lat bogactwa i świetności.

Powstaje, w niektórych rozdziałach przynajmniej, powieść obyczajowa, przemysłnie skomponowana, nieraz pełna komizmu. Dodajmy, że zalety językowe książki wraz ze sztuką odtwarzania zabarwień gwarowych wyróżniają ją spośród różnych pozycji prozy 1987 roku.

Wykorzystam teraz „Jaśniepanicz” do przypomnienia rodowodu pisarza, znanego zresztą z tradycji i innych opracowań. Dziad — Sybirak po odbyciu kary nie mógł wrócić na rodzimą ziemię Litwy, osiadł w Sandomierskiem. Ojciec — Jan — wytworny i niebezpieczny dla kobiet mężczyzna, gospodarował jeszcze czas jakiś w Małoszycach pod Opatowem, ale był już zarazem zamożnym warszawskim przemysłowcem.

Matka Witolda, pani Antonina z Kotkowskich, wywodziła się z rodu osiadłego w Bodzechowie koło tegoż Opatowa, z rodu, który zakasowałby swoimi szpakami mieszkańców Nawłoci z „Przedwiośnia”. Tyle było w Bodzechowie lokal, stangretów, bon, pań do towarzysztwa, tyle francuszczyzny i do tego jeszcze auto oraz telefon do podległej majątkowi fabryki. I to wszystko przed pierwszą wojną.

W pobliskich Małoszycach, gdzie Witold się urodził, też biednie nie było. „Jaśnie państwo było żarte, nie ma co ukrywać” — wspomina Władysław Dulna, dziś rencistka z Opatowa, ongiś kuchenna u Gombrowiczów. Niektórzy przedstawiciele obu rodów pracowali jednak ciężko, stąd nowocześnieść i uprzemysłowienie majątków, a także możność kształcenia dzieci.

Całe to jaśniepaństwo troszczyło się jednak o służbę i robotników, a ojciec Witolda założył w Małoszycach czterooddziałową szkołę i zatrudnił w niej stałą nauczycielkę. Dzieciom folwarcznym i wiejskim ufundował ochronkę. „Każdego dziecka, wszarza do piersi przytulil” — mówi Dulna.

Niestety, w rodzinie Kotkowskich sporo było chorób umysłowych. Po latach wspomina o tym sam Witold Gombrowicz: „...gdy przyjeżdżałem do mojej babki na wieś, bałem się okropnie: dom duży, parterowy, przedzielony był na dwie części; w jednej mieszkała moja babka, w drugiej syn jej, brat mojej matki, który chodząc nocą po pustych pokojach, usiłował zgłuszyć strach dziwnymi rozmowami (...) kończyły się one nieładnym wrzaskiem; całą noc to trwało; wdychałem szaleństwo”.

O matce Witolda, a także jego rodzeństwie, pani Antoninie z Kotkowskich, mówi 85-letni Wincenty Wójcik, dawny karbowy, że była... umysłowo w porządku, „ale mumią straszna. Nigdy nie zagadała, nie rządziła nie powiedziała... pyszna, dumna, sztywna”. Gdy się Wójcik dowiedział od Joanny Siedleckiej, że Witold Gombrowicz został sławnym pisarzem, pokreślił tylko głową: „Syn mumi... pisarzem? Proszę, w nim jednak się odezwano”.

A jak w tych majątkach i dworach, po których nie pozostał dziś kamień na kamieniu, jak tam spędzał czas Witek, a potem młody pisarz, Witold Gombrowicz? Bardzo się dziwił służba z dawnego majątku Jerzego Gombrowicza, brata autora „Ferdydurke”, że Siedlecka właśnie o Witoldzie chce rozmawiać, a nie o ich dawnym dziedzicu.

„O poruczniku (Jerzy był ulanem z 1920 roku) można by godzinami. Prawdziwy pan, wysoki, postawny, rozmowny, życiowy, ludzki, dusza po prostu. Witold? Owszem, też chłopak niebrzydki, tylko że już średniego wzrostu, szczupłutki, delikatny na buzi jak panieneczka. Bardzo spokojny, cichy... pisał nocami. Potem błąd jak upiór wstawał o jedenastej, dwunastej, kiedy normalni ludzie dawno już mieli za sobą połowę dnia. Cóż — taką już widać miał chorobę” — mówi dawny stangret z Wsoli, Michał Romanow, liczący dziś 79 lat. A czy „Witek” dobrze zrobił, że w sierpniu 1939 roku wyjechał do Argentyny? „Do wojska był przecież niezdatny, a Niemcy niszczyli takich właśnie herbaciarzy: powieściopisarzy, redaktorów, profesorów...”

Tu w kraju w majątkach rodziny w ogóle się do niczego nie nadawał. Nie grał w karty, nie pił, nie lubił polowań, dziewczyn nie zaczął, gospodarka też go nie interesowała. „Syn mumi i tyle”.

A co też sądziło o Gombrowiczu środowisko ziemiańskie? Panna z sąsiedzkich Barodziej, osoba wyjątkowej urody, w której Witold się podobno kochał, dziś starsza pani z wnukami, niechętnie odzywa się o tym „dziwaku i oryginalu”. Jej otoczenie traktowało twórczość Gombrowicza

jako co najmniej osobliwą, ona sama zaś uważała pomysły literackie autora „Pamiętnika z okresu dojrzewania” za koszmarnie, często obrzydliwe.

W obszernej kronice rodu Kotkowskich, prowadzonej przez emerytowanego inżyniera, pisarzowi poświęcono trzy linijki. Byli przecież od niego świetniejsi: profesorowie, adwokaci, lekarze, rolnicy, architekt Skibniewski — współtwórca trasy W-Z. Na ich tle ten autor dziwnych książek?

„Panicz”, „Jaśniepanicz”... Życie mu potem gorzko wyrównało takie „bytowanie wśród róż”, bo i tak ktoś określił jego młodość. W Argentynie przez 24 lata żył jako urzędnik bankowy bardzo skromnie. Miewał pustki w kieszeniach jedynego podobno garnituru. Potem porzucił całą tę „stabilność” i postanowił żyć z pisarstwem, uprawianego przez cały czas w polskim języku. Nawet gdy wrócił do Europy jako pisarz międzynarodowej sławy, tłumaczony na wiele języków, nie był już ubogi, ale i nie lśnił bogactwem.

„Mam przeszło 60 lat — powiedział kiedyś swojej tłumaczce — a mój jedyny dorobek to trzy tysiące stron, które napisałem. Bo materialny dąbby się zamknąć w jednej walizce”. Może niezupełnie tak. W miarę wzrostu sławy i rozwoju choroby (cierpiał straszliwie na astmę) powodziło mu się jednak lepiej. A gdy gospodarke dziełami Gombrowicza poprowadziła jego młoda żona, Kanadyjka, z domu Labrosse, sytuacja stała się znośna. Gombrowiczowie mogli sobie wynająć kilka pokoi w cudzej willi w Vence koło Nicei. Mieli własny samochódzik, taki raczej studencki...

A Rita? Rita była młoda, urodziwa, inteligentna, zaradna i dobra. Tak o niej mówią wszyscy.

Książka Siedleckiej nie stroni od przytaczania przekornych czy wręcz odstępczych wypowiedzi samego mistrza. Celował w nich. I tak potrafił sobie ludzi zrazić, że przez jakiś czas skreślono go w ogóle z porządku dziennego naszego życia w kraju. Gdy teatr studencki w Gliwicach wystawił w roku 1960 jego „Ślub”, trzeba było na afiszu zakleić paskami nazwisko autora. Rozgniewany potrafił piętnować w rozmowach wszystkich polskich pisarzy i dziwić się, skąd on jeden tylko się wziął... taki inteligentny. Czy myślał tak na serio?

A może to dobrze, że nie wszystko było w nim serio? „Ferdydurke” zamknął słowami, które podsunęła mu służąca Gombrowiczów — Aniela, starsza wiekiem serdeczna opiekunka pisarza: „Koniec i bomba, a kto czytał ten trąba”...

KOBIETY O KOBIECIE



Fot. M. Suchecki

z najprawdziwszym mieniem rozstać się i nie patrząc wstecz odejść widocznie można pośrodku chłodnej ziemi zostać

szukam się w miękkim futrze kota w kroplach deszczu w sztachetach opieram się o dobry płot i zasnuta słońcem — mucha w sieci pajęczej — czekam...

lubię tęsknić wspinać się po poręczy dźwięku i koloru w usta otwarte chwytając zapach zmarznięty

lubię moją samotność zawieszoną wyżej niż most rękoma obejmujący niebo

miłość moja idącą bosą po śniegu

drzazga mojej wyobraźni czasem zapala się od słowa a czasem od zapachu soli i czuję jak podę mną przestępuje z nogi na nogę okręt i ocean jest niezmierzony bez żadnego brzegu zamknięta w lupinie drewna jestem cudownie wolna nie kocham nikogo i nieczego

pokornie cię kocham widzisz nawet łokieć swój kocham bo raz był twoją własnością widocznie tak można

w moim barbarzyńskim języku kwiaty nazywają się kwiaty i o powietrzu mówią powietrze i stąpając po kostkach bruku obcasami wystukuję bruk bruk bruk i mówię kamień tak miękko jak gdyby kamień był aksamitem i utulam twarz w twoją szyję jak gdyby rosło tam

i kocham mój barbarzyński język i mówię: kocham

HALINA POŚWIATOWSKA

Odejmuwanie

...odjąć lato — żar w pamięci, odjąć zimą — bal w pamięci, odjąć ręce — mur w pamięci, odjąć wolność — wiatr w pamięci, odjąć ciebie — żal w pamięci, odjąć siebie — nic w pamięci.

Dodać pamięć... Co w pamięci?

Wysypały się kaczeńce

Zawieszony na powietrzu nie błękitną pajkę przedzie, nie wiedziałam wczoraj jeszcze, że mi tak błękitnie będzie.

Niebo płonie od wieczora, gorze gwiazda na kolede, nie wiedziałam jeszcze wczoraj, że ja także płonąć będę.

Na zielonej łaci fali wysypały się kaczeńce, nie wiedziałam wczoraj wcale, że mi zlagodnieją ręce.

AGNIESZKA OSIECKA